

ŻYCIE

ROK I

2 września 1928 r.

NR 16

BEZPŁATNY
NAUKOWO - POPULARNY
ILUSTROWANY DODATEK
GŁOSU NARODU

Ogromna rola dzieci w historii ludzkości.

Amerykański etnolog Horatio Hale już przed czterdziestu laty zwrócił uwagę na fakt, że w Oregon, na dalekim zachodzie Ameryki północnej, ludność tubylcza, nie imigrancka, jest tak różnobarwna językowo, że aż 30 języków panuje w tym stanie, równym przestrzeni Francji. Rozpoczął badania na miejscu i doszedł do wniosków, ważnych dla językoznawstwa i historii, które teraz dopiero, dzięki duńskiemu uczonemu lingwiście, Jespersenowi, wchodzi na teren dyskusji międzynarodowej.

Skąd pochodzi, że ludność rdzena, tubylcza, stanu Obregon mówi aż 30 językami? Niepodobna przecieć, aby pierwotni mieszkańcy tego kraju, po okresie bezmownym, zaczęli od razu mówić 30 niezależnymi od siebie i różnymi językami! H. Hale tłumaczy ten fakt twórczością językową i to instynktowną — dzieci. Kiedy dwoje dzieci, zaczynających mówić, znajduje się w zupełnym odosobnieniu od rodziców i innych ludzi, wynajdują sobie one język, nietylko wystarczający dla wzajemnego porozumiewania się, ale język kompletny, zdolny do dalszego rozwoju przez przekazywanie potomstwu i zupełnie niezrozumiały dla innych. Czy można jednak wyobrazić sobie takie zupełne odosobnienie dzieci? Wszak bez opieki i pomocy starszych, zdane na siebie tylko, wymrą prędzej znacznie, aniżeli wynajdą nowy język!

H. Hale odpowiada na to, że wśród myśliwskich plemion Ameryki, gdzie poszczególne rodziny odrywają się niekiedy od obozu i wędrują osobno jedna od drugiej, warunki sprzyjające powstawaniu zupełnie nowych języków istnieją. — „W dzisiejszych czasach, pisze, kiedy wszystkie kraje są zamieszkałe, ucieczka, czy oderwanie się takiej rodziny wywołałoby tylko ten skutek, że znalazłaby się na terytorium innego, plemienia, które, jeśliby przyjęło ją gościnnie, jednocześnie pochłonięłoby ją i zassymilowało po dłuższym czasie zupełnie. Ale w czasach dawnych, olbrzymie przestrzenie niezamieszkałe przez nikogo, stały przed taką rodziną otworem i mogła ona znaleźć łatwo schron w jakiejś żyznej, zasłoniętej dolinie. Wyobraźmy sobie dalej, że jakaś choroba lub wypadek zabiera małym dzieciom rodziców. W dawnej Europie, po ustaleniu się dziś istniejących warunków klimatycznych dzieci, poniżej lat 10, pozostawione same na pustkowiu, prawdopodobnie nie przeżyły jednej nawet zimy. Nic przeto dziwnego, że w dzisiejszej Europie istnieje zaledwie 4—5 rodzin językowych. To samo można powiedzieć o Ameryce północnej, z jednym tylko wyjątkiem, a mianowicie dzisiejszej Kalifornii, gdzie przyroda sama jest piastunką i pielęgniarzą słabych i bezradnych — dzięki cudownemu klimatowi i pysznej roślinności. Cóż dziwnego, że w tak łagodnym i urodzajnym kraju znajduje się wielka liczba plemion mówiących tylną odrębnymi językami? Podobne warunki posiada i wnętrze Brazylii z tym samym skutkiem językowego rozproszkowania, natomiast w Australii, gdzie klimat jest podobny, ale brak innych sprzyjających warunków, istnieją tysiące drobnych plemion, żyjących w zupełnym odosobnieniu wzajemnym, należących jednak do jednej i tej samej rodziny językowej.

Na tem polega teoria H. Hale'a.

Oparta jest ona, jak widzimy, na twórczych zdolnościach językowych dzieci — z jednej strony, i geograficznej podstawie — z drugiej. Na poparcie jej H. Hale cytuję 5 przykładów odrębnych języków, wynalezionych przez dzieci, niestety opisuje je niedostatecznie jasno, dlatego też przytoczyć lepiej dwa inne za Jespersenem, tem ciekawsze, że zdarzyły się w Europie, nie w odosobnionych warunkach bytu.

Na początku 18 wieku żyła w Islandii dziewczynka, która z bratem swym, bliźniakiem, porozumiewała się językiem, zupełnie niezrozumiałym dla otoczenia. Rodzice byli tem zaniepokojeni i zdecydowali rozdzielić bliźnięta. Chłopczyka oddano do krewnych, zmarł u nich wkrótce potem, dziewczynkę zaczęto uczyć islandzkiego. Z niepodobnym przerażeniem jednak stwierdzono, że dziewczynka uczy się mowy ojczystej z wielkim trudem. Rodzice postąpili głupio: wysnuli wniosek, że dziewczynka nie nauczy się ich języka, wobec czego zabrano się do nauki mowy dziewczynki. I rodzice i bracia i siostry i nawet ich przyjaciele zaczęli mówić językiem owej dziewczynki. Ażeby mogła ona przystąpić do konfirmacji (rodzina była protestancka), najstarszy brat przełożył na jej język katechizm i był pośrednikiem-tłomaczem między nią a pastorem. Była to dziewczynka inteligentna, układała nawet wiersze w swoim języku, ale ogromnie nieśmiała i nieufna. Duńscy uczeni Jonasson i Eschricht w swej rozprawie o owej dziewczynce podają próby jej języka. Był on dźwiękowo i konstrukcyjnie odrębny od miejscowego islandzkiego, nie miał odmiany rzeczowników i czasowników, nie miał również zaimków, słownikowo był ubogi, dziewczynka musiała wiele dopowiadać gestami, trudno też było z nią rozmawiać w ciemności.

Okrutne zwyczaje religijne w Indiach.

Indje stanowią dla siebie swój odrębny świat, — nie tyle może rozmiarami, ile liczbą ludności, która przenosi 322 miliony jednostek. To olbrzymie zbiorowisko ludzkie, złożone jest z wielu ras, które nie mówią tym samym językiem i nie wyznają tej samej religii. Urzędowo jednak władze nie uznają tam innej różnicy jak religijną.

Liczebnie największą ilość wyznawców przedstawia induizm, bo aż 220 milionów, potem idzie islamizm z cyfrą 70 milionów wiernych; ponadto parę milionów mieszkańców liczą dziś jeszcze Indje takich, którzy tkwią w najciemniejszym i okrutnym bałwochwalstwie, polegającym na czczeniu fetyszów czy świętych zwierząt, uważanych przez nich za wcielenie różnych bóstw.

Wyznawcy tych religii praktykują jeszcze dziś obrządku, polegające na ofiarach z ludzi, lecz czynią to w tajemnicy, gdyż władze angielskie nie robią żartów z winnymi takich aktów fanatyzmu. Co gorzej, że nietylko pierwotne ciemne szczyty przelewają krew ludzką dla uczczenia bóstw swoich, ale i ci z Hinduśców, którzy wyznają induizm. Mimo że religia ta opiera się na budyzmie i jest przesycona dogmatami filozoficznymi dość wzniosłymi, — dopuszczają się oni na tem tle występków surowo karanych przez prawo.

Wystarczy przytoczyć okrutny zwyczaj palenia żywcem wdowy na stosie, na którym leżą zwłoki jej dopiero co zmarłego męża. Zwyczaj ten nie jest tak starym u Hinduśców, wszedł on bowiem do ich praktyk pogrzebowych dopiero w parę wieków po początku ery chrześcijańskiej. Znika on też, to prawda, coraz więcej, odkąd władze nie wahały się karać śmiercią przez powieszenie uczestników tego „świętego obrządku“. Mimo to czyta się jeszcze wciąż w dziennikach z Bombay'u czy Calcutty sprawozdania z procesów lub doniesienia policji, o nowych wypadkach znikania wdów, gdzieś w odległych prowincjach, gdzie niewątpliwie poniosły śmierć przez spalenie żywcem.

Induizm zachował w sobie wiele praktyk odziedziczonych po innych religiach, które go poprzedziły, a zwłaszcza po wiśnuizmie, czyli kulty bogu Visnu, która to religia jest najstarszą w Indiach. W kilku prowincjach, w których czci się szczególnie boga, zwanego tam Jagannath, czyli „Pan świata“, obwozi się corocznie w pewnym czasie jego

posąg na ogromnym wozie, ciągniętym przez kilkaset osób. Ta przejażdżka boga przez wąskie uliczki miast, gdzie się gromadzą tysiące pielgrzymów, jest regularnie znaczona krwawymi śladami fanatyków, którzy się rzucają pod koła wozu, aby dać się przejechać przez bóstwo. Zwłaszcza w czasie pochodu, jaki się święci corocznie w Puri, zdarza się wiele takich samobójstw religijnych. Trzeba jednakowoż dodać, że liczba tych ostatnich w doniesieniach bywa z reguły przesadzana. Uwzględniwszy bowiem olbrzymią ilość pielgrzymów, jacy się tłoczą dokoła takiego ciężkiego wozu, aby bodaj przez dotknięcie palca, lub otarciem brzegu szaty o wóz się uświęcić, — nie można się dziwić, że także niejeden z nieszczęśliwych, mimowoli zepchnięty zostanie przez tłum i wpadnie pod koła.

Wiadomo, że koran uważa, — i nie bez racji, — świnie za zwierze nieczyste i zabrania wiernym spożywania mięsa wieprzowego. Ilekroć hindusi chcą wprowadzić we wściekłość muzułmanów, wprowadzają porą nocną żywą taką przedstawicielkę nierogacizny do meczetu, przez co świątynia ta staje się zbezczeszczoną. Ma h o m e t a n i e mszcząc się za tę obelgę, pustoszą lub palą pagodę hinduską. Zdarza się często, że dochodzi podczas takich poczynąń do bitki, która pociąga za sobą ofiary w ludziach od pełnię sztyletem, o ile policja na czas nie zaprowadzi porządku.

Corocznie zdarzają się setki wypadków śmierci i ponad tysiąc ciężko rannych w czasie święta Muharram, i na to trudno znaleźć radę. Klótnie między muzułmanami a hindusami dają wiele do czynienia policji i to nietylko w wypadkach zbezczeszczenia meczetu w sposób opisany powyżej, po których już dochodzi do poważnych zaburzeń, ale i w innych. Często muzułmanie prowokują hindusów zabijając im zwierzęta.

Jeden z wypadków takich, bardzo głośny, przytrafił się niedawno w Allahbad z okazji wyścigów konnych, a trzeba wiedzieć, że Hindusi są zapalonymi graczami w totalizatora. Otóż zdarzyło się tam, że wielu z nich postawiło na pewnego konia, który nagle, na parę godzin przed biegiem, zniknął w sposób tajemniczy. Podejrzanie jako na winowajców padło na muzułmanów, a następstwem tego była zamiast wyścigów nowa krwawa bitka.

maczem między nią a pastorem. Była to dziewczynka inteligentna, układała nawet wiersze w swoim języku, ale ogromnie nieśmiała i nieufna. Duńscy uczeni Jonasson i Eschricht w swej rozprawie o owej dziewczynce podają próby jej języka. Był on dźwiękowo i konstrukcyjnie odrębny od miejscowego islandzkiego, nie miał odmiany rzeczowników i czasowników, nie miał również zaimków, słownikowo był ubogi, dziewczynka musiała wiele dopowiadać gestami, trudno też było z nią rozmawiać w ciemności.

Drugi przykład był zbadany szczegółowo przez samego Jespersena, znakomitego językoznawcę kopenhaskiego. Dano mu znać w 1903 r., kiedy właśnie wykładał na uniwersytecie psychologię mowy dzieci, że w okolicy samej Kopenhagi jest dwoje bliźniąt, mówiących własnym językiem. Matka je zaniedbała, ojca nie było, żyły pod lichą opieką zupełnie głuchej starej kobiety. Władze parafialne, dowiedziawszy się o ich nędzy, a również o tem, że mówią swoim językiem, posłały dzieci na wychowanie do przytułku, kiedy już miały one lat 4. W tym wieku poznał je prof. Jespersen.

Rozumiały już trochę po duńsku, ale nie mówiły językiem ojczystym wcale, a nawet własnego używały mało w obecności obcych. Natomiast kiedy były same, rozmawiały z ożywieniem po swojemu. Prof. Jespersen podsłuchiwał je zrazu za drzwiami, potem ośmieliwszy je do siebie i zaprzyjaźniwszy się z nimi za pomocą podarunków, badał ich język w ten sposób, że kazał im powtarzać wyrazy i zdania podsłuchane przez siebie, lub przez specjalnie w tym celu wynajętego nauczyciela, poczem je zapisywał sposobem fonetycznym. Analiza wykazała, że organy mowy bliźniąt były w zupełnym porządku, większość wyrazów była pochodzenia duńskiego, były one tylko ogromnie przekształcone i skrócone, natomiast okazało się, że mowa bliźniąt miała bezdźwięczne „l“, nieznanne językowi duńskiemu, że nie miała fleksji, co ciekawsze — szły wyrazów w zdaniu był zgola różny od duńskiego, pod względem zaś składni miała pewne podobieństwa do afrykańskiej rodziny języków Bantu (jest ich około 250) i — staroangielskiego.

Z tych i wielu innych przykładów Jespersen wysnuwa wniosek, że jeżeli w 20 wieku, w kraju cywilizowanym, mogły się zdarzyć dzieci, które są zdolne wytworzyć własny język, odrębny od języka otoczenia, to tem większą słuszość ma H. Hale, który dowodził, że dzieci w warunkach pierwotnych, pozostawione same sobie w niezamieszkałym kącie kraju, gdzie nie grozi ich życiu ani głód, ani chłód, mogą wytworzyć i rozwinąć język zupełnie nowy, różny całkowicie od mowy zmarłych rodziców, który może stać się początkiem nowej rodziny językowej, z chwilą przekazania go pokoleniom następnym.

Rzuca to duże światło nie tylko na pochodzenie wielu języków, ale i potwierdza ogromną rolę dzieci w historii języków, i wogóle w historii ludzkości. Języki żyją, rozwijają się, przekształcają i giną, głównie dzięki dzieciom, dzięki temu, że muszą być przekazywane dzieciom, które nie są ślepymi naśladowcami mowy starszych, ale posiadają duże twórcze i instynktowne zdolności językowe

Historia i sposób wyrobu porcelany.

Nazwa porcelana pochodzi z portugalskiego słowa porcella — muszla, gdyż Portugalczycy pierwsi sprowadzili wyroby z niej w XV wieku z Chin i Japonii. Tam znana była porcelana od najdawniejszych czasów, choć pewne wiadomości o niej mamy dopiero z wieku XI.

Materiałami do wyrobu porcelany są: kaolin, skalenie (n. p. ortoklaz) i kwarc. Surowce te miele się oddzielnie na bardzo delikatny proszek, przemycia wodą, celem uwolnienia od zanieczyszczeń, odmula, a następnie miesza w odpowiednich stosunkach, poczem zostawia się wilgotną masę przez dłuższy czas aby „przegniła”. Chińczycy poddają masę porcelanową gnicciu nieraz przez 40 lat, gdyż wiedzą, że proces ten wpływa dodatnio na ugniatalność masy.

Naczynia i rozmaite przedmioty formuje się z przygotowanej masy bądź to przez obrabianie na toczyle garncarskim, bądź przez wyciskanie w odpowiednich formach z zagłębieniami, bądź przez odlewanie rzadkiej masy w formach gipsowych, które pochłaniają nadmiar wody. Uformowane przedmioty suszy się na powietrzu, poczem umieszcza się je w odpowiednim piecu, a mianowicie górnym jego piętrze, gdzie panuje niższa temperatura. Celem ochronienia przedmiotów od zanieczyszczeń pochodzących z dymu, stawia się je zazwyczaj nie bezpośrednio na rusztach pieca, lecz w naczyniach z gliny ogniotrwałej. Po jednokrotnym wypaleniu okazują przedmioty znaczna porowatość; nadają się one n. p. do wyrobu kubków przegrodowych w ogniwach elektrycznych filtrów itp.

Celem usunięcia porowatości zapetrjuje się raz wypalone przedmioty zbitą polewą (glazura) tym sposobem, że macza się je w wodzie, do której wysypano poprzecznie mieszaninę, złożoną z tych samych materiałów, z których przyrządzono masę porcelanową (kaolin, skałki i kwarc). Tak przyrządzone naczynia wypala się w dolnej części pieca, mającej bardzo wysoką, bo około 1460° Cels. wynoszącą temperaturę, przyczem tworzy się na ich powierzchni nadzwyczaj twarda zbita polewa.

Porcelana jest cennym materiałem z wielu względów. Przede wszystkim jest bardzo twarda (stał się nie rysuje), a nadto w wielkim

stopniu wytrzymała na działanie wysokiej temperatury i kwasów. Dobra porcelana prześwieca, co ją odróżnia od podobnych wyrobów fajansowych.

Sztuka malowania na porcelanie przedstawia jedną z gałęzi przemysłu artystycznego. Różne tlenki metali podobnie jak te, które służą do barwienia masy szklanej, po rozrobieniu z pyłem szkła ołowianego i olejem terpentynowym lub lawandowym, stanowią farby do malowania na porcelanie. Pomalowane przedmioty poddaje się ponownemu wypaleniu w temperaturze około 800° Cels., przyczem składniki te wchodzi w szklivo i zabarwiają je w odpowiedni sposób w miejscach pomalowanych.

Materiałem do wyrobu naczyń kamionkowych jest mniej czysty kaolin, wskutek czego naczynia te bywają brunatne lub czerwone. Wypala się je w znacznie niższej temperaturze, aniżeli naczynia porcelanowe. Polewę dla naczyń kamionkowych otrzymuje się tym sposobem, że podczas wypalania w piecu obrzuca się je solą kuchenną, która tworzy na powierzchni naczyń zbitą warstwę krzemianu glinowo-sodowego.

Do wyrobów, które w całej masie okazują porowatość z wyjątkiem polewy należą fajans i zwyczajne wyroby z gliny, jak garnki, cegły, dachówki.

Polewę zwyczajnych wyrobów glinianych otrzymuje się sposobem jak przy kamionce. Robią ją także z glejty (tlenku ołowiu), która tworzy na powierzchni naczyń krzemian ołowiany, częściowo rozpuszczalny w kwasach; stąd też naczyń z polewą ołowianą nie należy używać do gotowania i przechowywania pokarmów, zawierających w sobie kwasy (kapusta, barszcz, ogórki i t. p.).

Właściwą odmianą gliny jest t. zw. glina ogniotrwała, czyli szamota (w Polsce: okolice Mirowa, Grojca, Poręby), z której wyrabia się cegły ogniotrwałe retorty dla otrzymywania gazu świetlnego i do innych celów.

Ultramaryna stanowi niebieską lub zieloną farbę malarską, otrzymywaną od r. 1829 w sposób sztuczny przez prażenie kaolinu ze sodą, węglem i siarką bez przystępu powietrza. Istoty chemicznej ultramaryny nie znamy dotychczas. Przypusz-

czać można, że mamy tu do czynienia ze stałym roztworem, któremu kaloidowa siarka nadaje właściwą barwę.

W Europie pierwszy wynalazł porcelanę alchemik Böttger w Saksonii w r. 1709. Po odkryciu Böttgera w krótkim czasie powstały dosyć liczne fabryki porcelany w Niemczech. We Francji wyrabiano wyroby z porcelany miękkiej już od r. 1695. Najstarszą była jednak we Francji od początku swego istnienia fabryka porcelany w Sévres, do której założenia przyczyniła się sławna marka Pompadour.

W Polsce zaczęły wchodzić w użycie na stołach pańskich serwisy porcelanowe z doby saskiej. Zastępowały one dotychczasowe naczynia z kruszcem. Była to już sławna porcelana saska z Myszy (Meissen). W pałacyku powązkowskim księcia Adama Czartoryskiego był pokój zwany porcelanowym, w którym użyto do wyłożenia ścian trzy tysiące tafelek z porcelany saskiej.

O uświadaniach wyrobu majolik w Krakowie za króla Stefana Batorego dowiadujemy się z ksiąg radzieckich krakowskich ówczesnych. Niejaki Destesi, włoch osiadły oddawna w Krakowie, pragnąc zaprowadzić w Polsce wyrób majolik, uzyskał od króla Stefana w r. 1583 wyłączny przywilej na ten przemysł, i sprowadził dwóch mistrzów bieglących w sztuce wyrabiania majolik z miasta Faenzy sławnej w tej sztuce (stąd też pochodzi nazwa fajans). Wyroby ich nie zyskały jednak powodzenia i przybyłszy ci nie pozostali w Polsce długo.

Około połowy wieku XVIII nabrała sławy porcelana saska, Stanisław August uświadając przemysł podobny zaszcześcić w Polsce, założył fabrykę wyrobów fajansowych i majolikowych w Belwederze pod Warszawą. Fabryka ta kopowała najczęściej naczynia holenderskie, a także wyroby chińskie, a niekiedy francuskie i niemieckie. Wyrób jak na majolikę był dobry, tylko kruchy.

W r. 1784 książę Józef Czartoryski naśladując króla, założył fabrykę fajansów na Wołyniu pod Korcem, którą świetnie wyposażył. Akcje tej fabryki przenosiły w czasach największego rozwoju tej fabryki sto procent dywidendy. Od r. 1790 zaczęto tam wyrabiać sztuczną porcelanę, która nabrała znaczenia narodowej. W r. 1793 liczba warszt-

tów w fabryce w Korcu wynosiła 86, a robotników siedzących za toczylami było tysiąc. W malarni było zatrudnionych 73 pracowników. Glinę do wyrobu fajansu koreckiego znajdowano na miejscu, na porcelanę zaś przywożono glinę z Dąbrowicy, oddalonej o mil kilka od Korca; krzemień z Krzemieńca, a kredę najlepszą z Jampola. W najświetniejszych czasach rozwoju wywożono z fabryki miesięcznie do 20 tysięcy sztuk wyrobów. Sława porcelany koreckiej zaczęła się rozchodzić nawet poza granice Polski. Sam generał-gubernator warszawski ówczesny obstał tam serwis na 12 osób z portretami carowej za tysiąc rubli. Piękność tego wyrobu przeszła wszelkie oczekiwania i przyniosła wykonawcom liczne order i wynagrodzenia.

Fabryka korecka odbudowana po spalaniu w roku 1800 wyrabiała już tylko fajans pod dyktando chemika Mérault sprowadzonego z Sévres z Francji.

Wystawa dawnych wyrobów porcelanowych, urządzona w Warszawie w r. 1913 w pałacu Baryczków, pozwoliła ocenić jak niezwykle piękne były wyroby polskie z tej dziedziny. Wystawiono tam filiżanki i talerzyki z miniaturami wybitnych osobistości, jak ks. Józefa Poniatowskiego, Kościuszki, Napoleona i t. d. Niektóre wyroby ozdoby były herbami i armaturą, cienkie nierzadko listki akacji, kształtne, niemal wypleszczone.

Dzisiaj fabryki porcelany istnieją niemal we wszystkich krajach Europy, ale ustępują zawsze co do jakości i piękności wyrobom saskim, a zwłaszcza francuskim, z Sévres, które odznaczają się niezwyklej wytwornością i pięknymi barwami.

Znaczne ulepszenia w fabrykacji i wyrobie porcelany zaprowadził Brongniart, Ebelmen, Salvetat i in. Elski.



O kolekcjonistach i ich zbiorach.

Przedmiotami, które najlepiej się nadają do kolekcjonowania i największą liczbą amatorów zbieraczy są niewątpliwie marki pocztowe. Filatelja liczy wśród swoich zwolenników nawet cały szereg osobistości wysoko postawionych. Należy do nich król włoski, posiadający wspaniałe zbiory znaczków pocztowych, a wśród tych nawet okazy uchodzące za niezmiennie rzadkie. Podobnie król angielski jest zapalonym filatelistą i posiadaczem nie mniej cennej kolekcji tego rodzaju, jak również król Afganistanu Amanullah.

Cena, jaką osiąga czasem znaczek pocztowy z takiej kolekcji, jest wprost oszłamajająca. Są egzemplarze, których cena dochodzi do nieprawdopodobnej kwoty 150 tysięcy złotych (n. p. marki z wyspy Mauritius z r. 1847, albo brzydkie zresztą znaczki z Guiany angielskiej, wypuszczone w r. 1856). Znaczków przewyższających wartość 50 tysięcy złotych jest na rynku filatelistycznym dość dużo, a już takich, za które się płaci ponad 25 tysięcy naszych złotych spotkać można w ilości nieograniczonej.

Ponieważ liczne z tych cennych egzemplarzy ulegają zniszczeniu lub podarciu, czyto przez zużycie, czy skutkiem jakiejś nieostrożności, przeto w ostatnich czasach powstały nawet prawdziwe kliniki marek pocztowych... okaleczonych, gdzie wprawni w swej sztuce specjaliści przywracają je do dawnego stanu, a nawet uzupełniają brakujące części. Oczywiście nie brak między nimi oszustów lub wprost fałszerzy. Ostatnio jeden z kolekcjonistów tych przedmiotów w Anglii został oszukany na sumę 20 tysięcy funtów szterlingów przez nabycie rzekomo autentycznych, a w rzeczywistości nadzwyczaj rzęcznie sfalszowanych kilku takich egzemplarzy.

Do najdziwniejszych zbieraczy należą, zdawałoby się, amatorzy — guzików. A jednak istnieje kilka i to sławnych kolekcji tych przedmiotów, bo guziki mają zresztą nie małe znaczenie w historii sztuki i kostiumologii wieku XVIII. W owym czasie wyrabiano guziki o niezwyklej wprost wartości nietylko z tego powodu, że były ozdabiane drogiemi kamieniami, lecz i dla ich ar-

tystycznego malarskiego czy snycerskiego wykonania. Inne znowu jako miniatury ręcznie malowane czy trawione emalją przez najznakomitszych mistrzów swego czasu, stanowiły prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju. Do tak świetnego rozwinięcia się tego przemysłu przyczyniła się zresztą i ówczesna moda.

W jednym rzędzie ze zbiorami guzików ma miejsce kolekcja osobliwych sprzączek do obuwia, także wytworu kaprysu czy mody. Sławny stał się taki zbiór sprzączek, za które hr. de Saint Germain zapłacił w swoim czasie 200 tysięcy franków. Wykonane w najrozmaitszej formie z metalu mniej lub więcej drogiego, niektóre egzemplarze tego zbioru były także ozdobione cennymi malowidłami, lub cyzelowane; ponadto stanowił ten zbiór dobrze sklasyfikowany i objaśniony komplet.

Także w dziedzinie druków spotkać można najróżnorodniejsze i interesujące zbiory wszelkiego rodzaju. Pominiemy część dotyczącą exlibrisów i biletów wizytowych, jako dosyć powszechnych, jakkolwiek i między nimi znaleźć można egzemplarze, naprawdę cenne, czy to

jako antyki, czy z racji artystycznego wykonania. Do zbiorów najosobliwszych tego rodzaju należą doniesienia o zgonach i łącznie z tem także żałobne bilety z podziękowaniem. Więcej wesoła jest natomiast kolekcja doniesień o urodzinach czy zawarciach małżeństwa. Pierwsze takie druki pojawiły się w r. 1770, a tematem ich jest zawsze tryumf Kupidyna. Treść i forma tych wiadomości nie pozbawiona jest zresztą smaku i pewnego nawet konceptu artystycznego.

Niezmiennie ciekawymi, dla poznania historii sztuki, dokumentami są zbiory programów uroczystości, akademii, zebrań, widowisk i innych podobnych. Wyczerpanie szczegółowe tychże zbyt wiele zajęłoby tu miejsca.

Jeszcze bardziej osobliwymi są zbiory biletów wstępu lub zaproszeń różnego rodzaju. Między niemi... najapetyczniejszymi są kolekcje jadłospisów, obiadów, bankietów itp. Najgorliwszymi zbieraczami tychże są, jak mówią, ministrowie, mówcy, posłowie itd., dla nich bowiem każda taka lista potraw czy się ze wspomnieniami o jakimś sukcesie krasomówczym.

inż. A. Pauly.

Awjo — matka eskadrowa czyli okręt — lotnisko.

„Każde państwo, posiadające morskie granice, powinno uwzględnić obydwa zasadnicze składniki swej potęgi militarnej armię i marynarkę.

Podczas wojny 1914—1918 rozwinął się trzeci czynnik walki, zdolny operować zarówno nad ziemią, jak i nad morzem, czynnikiem tym jest aeronautyka.

Cała sztuka polega na zbudowaniu takiego gmachu obrony narodowej, w którymby armia, marynarka i aeronautyka zajęły odpowiednie miejsca, stwarzając harmonijną całość. (cyt. franc. gen. Buat'a).

Po wojnie światowej lotnictwo poczyniło nadzwyczajne postępy i zastosowane do celów wojennych wytworzyło odrębne gatunki bojowych aparatów lotniczych, o różnych zadaniach i specjalnościach, od których zależy siła, szybkość i nośność płatowców. Jak wojenne okręty na morzu tak i bojowe aparaty lotnicze niezależnie od konstrukcji dzielą się na wywiadowcze, myśliwskie, ciężkie, niszczyielskie, przeznaczone do bombardowania punktów strategicznych, obserwacyjne, transportowe i t. d.

Wskutek podziału powierzchni kuli ziemskiej na ląd i morze lotnic-

mowemi windami (w kształcie płatowca) odrazu podniesione na górny pokład, 20 sztuk w stanie na pół gotowym stoi o piętro niżej i 20 sztuk w stanie rozmontowanym na samym dole stanowią zapas.

2) Płatowce muszą mieć możliwość startowania i planowania z awjo — matki, dla tego ma ona 2 pokłady: dolny normalny, służbowy oparty na burtach i drugi górny do użytku płatowców. Aby górny pokład był wygodny do planowania, musi on mieć do 250 m. długości i do 35 m. szerokości, przy tem musi być zupełnie wolny, dla tego na tych okrętach, kominy, maszty, artylerja i pomost dowódcy są ściśnięte przy jednym boku. Z tej strony też bywa umieszczany kran dla podnoszenia z wody płatowców, którym się nie udało szczęśliwie splanować na górny pokład lub do podnoszenia hydroplanów.

3) Awjo — matki przyjmują udział w bitwie morskiej, ale trzymają się poza linią ognia dalekonośnej artylerji, dla tego muszą mieć chyżość do 35 węzłów, by móc ująć ze swym cennym ładunkiem przed drednoutami, chyżość których dochodzi do 25 węzłów. Dla rozwinięcia takiej chyżości, przy swej wiel-

nego typu awjo-matki, jak również niema jeszcze właściwego typu morskiego płatowca. W bitwie pod Skagierakiem hydroplany przy fali ponad 1 m. (normalna na morzu) nie mogły opuszczać się na wodę, a lądowym aparatom (na kółkach) nie zawsze udawało się szczęśliwie splanować na pokład ówczesnych awjo-matek, tak że w krytycznych momentach bitwy wywiadowcy planowali w rezultacie bez względu na rodzaj aparatu bezpośrednio na wodę i chronili się na czekające na nich szalupy, aparaty zaś po kilku minutach fala topiła.

Obecnie powstaje nowy rodzaj wojenno-morskiego aparatu t. zw. „amfibja“ (nazwa zoologiczna ziemno-wodnych stworzeń). Jest to płatowiec umieszczony na łódkach lub pływakach jak zwykły hydroplan, ale do jego pływającego pod-

wozia są dorobione aeroplanowe lądowe kółka. Taki aparat może używać pokładu awjo-matki i do startu i do planowania, a w razie zezłizgnięcia się pływa na fali. Podczas obserwacji może również pływać, będąc mało widzialnym i dopiero przy zbliżaniu się eskadry nieprzyjacielskiej podnieść się z wody i odlecieć z raportem lub zdjęciami fotograficznymi.

Oprócz spełnienia wyżej opisanych zadań wojennych bezpośrednio podczas bitwy, awjo-matka ma także tę ogromną zaletę, że stacjonowana w najodleglejszej, powiedźmy zupełnie dzikiej, zatoce, staje się odrazu pierwszorzędnym ośrodkiem lotniczym. Koszt zbudowania awjo-matki „Saratoga“ wykończona w maju b. r. wyniósł 45 milionów dolarów.

DR. FELIKS BURDECKI

SAMOCHÓD RAKIETOWY.

W historii zdarza się często, że ludzkość nie zwraca uwagi na zdarzenie, którego ważność dopiero w kilka lat, czy w kilkadziesiąt lat zauważy. Takie to właśnie zdarzenie nastąpiło dnia 12 kwietnia roku bieżącego w miasteczku Rüsselheim nad Menem.

I jeśli przeglądam karty dziejów ludzkości, wydaje mi się, że żadne zdarzenie nie było tak brzemienne w doniosłe następstwa, jak owa minutowa jazda na samochodzie nowej konstrukcji. Zapewne czytelnika zdziwią te słowa. Samochód, o nowej konstrukcji? Przecież już dość mieliśmy samochodów o najrozmaitszych motorach. A jednak jest to zasadnicza różnica.

Motor raketowy — o nim bowiem tu jest mowa — ma zgoła inne cele i zadania, aniżeli jakikolwiek dotąd używany aparat pędzący. Samochód raketowy nie jest obliczony na małe rozmiary powierzchni ziemskiej, wymyślił go geniusz ludzki dla bezkresów wszechświata i on to pozwolił człowiekowi oprzeć zwycięstwa stopę na obcych światach. Prędkość, którą rozwinać umożliwił nam system raketowy, prześcignęła kilkakrotnie wszystkie dotąd zdobyte rekordy światowe. Już z tego to powodu, powierzchnia ziemi staje się zbyt ciasną, dla nowych wehikulów. Skok z Europy do Ameryki lub odwrotnie, w ciągu jednej godziny stanie się może już niebawem rzeczywistością. Wreszcie motor raketowy nie potrzebuje współdziałania powietrza. Samolot zaopatrzony w niego, nie będzie obawiać się rozrzedzonej atmosfery i właśnie na odwrót, próżnia przestrzeni światowej, nie stawiająca ruchowi żadnego oporu, jest idealnym środkiem raketowego wehikulu.

Na czem jednak polega ten nowy motor?

Fizyk oświadczy poprostu, że prawo bezwładności jest podstawą tej maszyny.

Jeżeli naciskam dłoń na poręcz krzesła, to poręcz ta wywiera takiż sam nacisk w kierunku mej dłoni. Jeśli armata wyrzuca pocisk, to odpowiednio ciśnieniem wywierają pocisk w przeciwnym kierunku armaty — jak wiadomo lufa armaty cofa się wstecz. Krótko mówiąc, każdej akcji odpowiada reakcja. Wyobraźmy sobie teraz naczynie, najlepiej szkiełne, zamknięte z wszystkich stron. Niechaj w jego wnętrzu nastąpi eksplozja jakiegoś gazu, siła wybuchowa działać będzie równomiernie na wszystkie strony; jeśli będzie dostatecznie wielka, rozsadzi może nasze naczynie, przy-

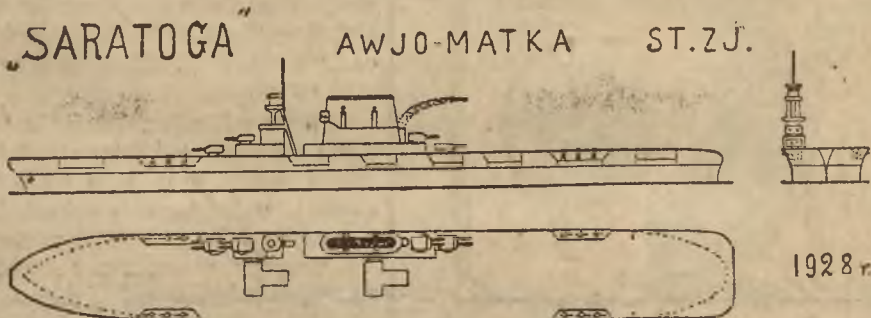
puścmy jednak, że naczynie to wytrzyma siłę wybuchu. Czy wskutek eksplozji nasz sześcian się poruszy naprzód? Zaiste, że nie! Siła rozsądzająca we wnętrzu naczynia działa we wszystkich kierunkach na ściany naczynia i wobec tego działanie jej wzajemnie się znosi. Wyobraźmy sobie teraz, że jedna ściana sześcianu jest otwarta. Wtedy, wybuch działać będzie na ścianę przeciwną, która wskutek tego zostanie pchnięta naprzód. Ponieważ zaś po przeciwległej stronie siła eksplozji działać nie może, więc cały sześcian poruszy się w kierunku przeciwległym do ściany otwartej.

Oto zasadnicza idea rakiety. Cały szereg uczonych już od kilkunastu lat zajmuje się zagadnieniem motoru raketowego. Wspomnę tu tylko nazwiska: Ganswindt, Goddard, Volier, a przedewszystkiem Oberth i Sander. Długo zamierzania tych uczonych nie wychodziły poza obręb teorii, ze stron zaś przemysłowych i finansowych obawiano się możliwego fiaska. Dopiero w roku 1925 pierwszych prób praktycznych dokonał w Ameryce Goddard, zdobywając wielkie zainteresowanie sfer rządowych. O dalszych jego doświadczeniach niestety nic nie wiadomo, przypuszczalnie milczenie uczzonego nastąpiło na skutek interwencji ministerstwa spraw wojskowych Stanów Zjednoczonych.

W roku przeszłym przystąpił do realizacji pomysł Valier'a Fryderyk Opel, kierownik fabryki samochodów w Rüsselheim nad Menem. Dnia 12 kwietnia nastąpiła właśnie pierwsza, próbna jazda samochodu raketowego, przyczem same rakiety były wykonane przez inż. Sander'a.

Wóz samochodu raketowego, wykonany w firmie Opel, ma kształt niskiego i lekko zbudowanego wozu wyścigowego, daremnie jednak szukalibyśmy na przedzie motoru. Przy kołach nie widać żadnego połączenia z jakimkolwiek mechanizmem wprowadzającym koła w ruch. Za przednimi kołami widać dwa jakby skrzydła nachylone lekko do poziomu, które pod działaniem nacisku powietrza utrzymują aparat przy ziemi, nie dozwalając mu na wykonywanie karbowatych skoków. Tylko część samochodu składa się ze stalowej krzyny, z której wyziera 12 grubych rur, z nich to wydobywają się eksplozujące gazy.

Najznamienniejszą cechą samolotu raketowego jest, że motor nie działa tu na koła, lecz bezpośrednio



SKALA 2:5 m.

two tem samem zostało podzielone na dwie zasadnicze grupy: lotnictwo lądowe i morskie co dało 2 odrębne rodzaje aparatów lotniczych: lądowy zwany aeroplanem i wodny — hydroplan. Aeroplan lądowy ustawiony na kółkach podnosi się i opuszcza (startuje i planuje) na lądzie stałym. Hydroplan jest ustawiony na jednej lub dwu lekkich łódkach, lub pływakach blaszanych, podnosi się i opuszcza na wodzie.

Aparaty lotnicze, bez różnicy typów i systemów są naogół delikatnymi przyrządami i mają dość skomplikowane motory. By aparat lotniczy był stale gotowym do użytku, musi mieć w swej bazie warsztaty mechaniczne, wysoko wykwalifikowanych mechaników i hangar jako schronisko. Z taborami armji lądowej idą pociągi lub autobusy z warsztatami lotniczymi, składanymi namiotami — hangarami i cysterny z lekką benzyną i przedniemi smarami.

We flocie rolę ruchomej bazy lotniczej pełni specjalny okręt zwany „awjo — matka“, franc. „porte-avions“, ang. „aircraft — carrier“. Zatem jest to nowy gatunek okrętu wojennego, zasadniczą bronią którego, są płatowce.

W chwili bieżącej stwarzają się wciąż nowe typy awjo-matek; ostatnie słowo w tej dziedzinie oczywiście jeszcze nie jest wypowiedziane. Dopiero rok 1930 pokaże to, co tymczasem jest w sekrecie budowane.

Zasadniczo awjo-matka powinna odpowiadać następującym warunkom:

1) Awjo-matka musi mieć możliwość zabrania 60 płatowców, dla tego pojemność jej dochodzi do 50 tys. ton. Płatowce te są rozmieszczone tak: 20 sztuk zupełnie gotowych do odlotu w każdej chwili stoi w oddzielnych górnych przegrodach kadłubu i może być platfor-

kowej wyporności awjo — matka posiada maszyny dochodzące do 200 tys. mech. koni siły. By odeprzeć atak szybkobieżnych kontrtorpedowców i krążowników awjo — matka posiada 8 dział, 203 m/m i pas parcerny na linii wody do 250 m/m grubości, a także pancerny pokład 74 m/m i przykrywkę artylerji 50 m/m grube. Podczas bitwy morskiej awjo-matka rzuca do walki swoje eskadrylle powietrzne: wywiadowcze w celach ogólnego wywiadu oraz w poszukiwaniu łodzi podwodnych i pół minowych, gdyż lotnik patrząc pionowo, unika przełamania światła w wodzie i widzi dla tego na głębokość do 50 m., niszczyielskie, przeciwko okrętom i centrom strategicznym, myśliwskie przeciw wywiadowczym i niszczyielskim płatowcom przeciwnika. Sama broni się przed powietrznymi napastnikami przeciwlotniczymi zenitowymi działami rozstawionymi na dolnym pokładzie w ilości do 12 sztuk 125 m/m i 4 działami zenitowymi na górnym pokładzie 50 m/m. Otrzymane rezultaty od swych wywiadowczych aparatów awjo — matka sygnalizuje przez radio sekretnym szyfrem dowódcy eskadry i tą drogą również otrzymuje rozkazy.

4) Wewnątrz korpusu awjo-matki, którego zagłębienie dochodzi do 7 m., oprócz płatowców są warsztaty mechaniczne i odpowiednio wentylowane zapasy benzyny i smarów dla aparatów. Dla swoich maszyn awjo-matka używa, jako paliwa ropę. Między pokładami są kajuty załogi, lotników i obserwatorów razem do 1500 ludzi.

Podczas wojny światowej potencje morskie, widząc potrzebę korzystania z morskiego lotnictwa, zaczęły przerabiać nowobudujące się w dokach krążowniki pancerne na awjo-matki. Każde z wielkich mocarstw ma ich obecnie po kilka sztuk. Dotąd jeszcze niema ustalo-

na masę wozu i ta raz pchnięta w ruch, porusza z kolei koła.

Samochód raketowy jest tylko pierwszym etapem do samolotu raketowego, od samolotu raketowego zaś do okrętu przestrzennego jest już tylko krok, który przestąpi sama brawurowa odwaga lotnika, gdyż samolot raketowy niezależnym będzie od powietrza.

Na zakończenie pozwolę sobie podać krótkie streszczenie opisu pamiętnej owej jazdy z dnia 12 kwietnia, według tygodnika „Illustrierte Technik“.

Przy samochodzie zajęci są: Max Volier, twórca idei samochodu raketowego; inż. Sander, konstruktor raket; Fryderyk Opel, przedsiębiorca samochodowy, który finansował całą imprezę, oraz inż. Volkhart, doświadczony, wyścigowiec.

Sander oświadcza z zadziwiającą pewnością siebie: „Biorę pełną odpowiedzialność za swoje rakiety“. Volier z widocznym zdenerwowaniem przechadza się tam i napowrót. Opel usiłuje żartami pokryć wewnętrzny niepokój, a Volkhart wypala papierosa za papierosem.

Gdy już wszystko gotowe, powstaje mały spór. Każdy z wyżej wymienionych chce być pierwszym kierownikiem raketowego smoka, mimo, że łatwo można przypłacić to życiem. Wreszcie Volkhart zajmuje miejsce w samochodzie. Ostatni uścisk dłoni, wszyscy się cofają. Operatorzy filmowi działają. Volkhart podnosi rękę: Wolna jazda dla pierwszego samochodu raketowego świata! Chwila milczenia. Volier krzyczy: Naprzód! Volkhart podnosi dzwignię. Rozlega się potworny huk, ze wehikułem ukazuje się długi ogon płomienistego gazu.

Wóz drgnął i pomknął jak strzała wypuszczona z cięciwy, sunie jak ciemna plama — za chwilę już nie widać niczego. Gęste chmury gazowe zasłoniły wszystko. Na moment huk się ucisza, pierwsza para raket się spaliła. Leczą już następna się pali. Po dalszych trzech sekundach zaczynają pracować rakietki długopalne, działające przez 40 sekund, tajemnica fabryczna Sander. Już na przeciwnym zakręcie pedzi piekielny wóz przed chmurą wyrzucanych gazów, aż wreszcie rakietki się spalają, wóz zwalnia biegu i staje. Volkhart wysiada, tej minuty szalonej jazdy nigdy już nie zapomni.

Pierwsza próba udała się doskonale. Dalszy rozwój*) pomysłu w kierunku międzyplanetarnego okrętu, jest już w wielkiej mierze rzeczą finansów i wytrwałości.

*) Bliższe szczegóły o możliwości podróży przestrzennej znajdzie Szan. Czytelnik w książce mojej: „Zagadnienie podróży międzyplanetarnej w świetle nauki“. Książka ta wyjdzie nakładem „Książnicy Atlas“ w grudniu lub styczniu.

Nowy typ motoru raketowego

Jak donoszą z Wrocławia, pewnemu Towarzystwu udało się zbudować motor raketowy na zupełnie nowych podstawach. Motor ten, w przeciwieństwie do dotychczasowych, poruszany będzie nie prochem, lecz płynnym powietrzem.

Wiadomo tylko, że nowy motor raketowy pracuje jak motor spalinowy, lecz zasada wynalazku trzymana jest w tajemnicy.

Niezależnie od niebezpieczeństwa jakie grozi przy motorze poruszonym prochem, za nowym wynalazkiem przemawia taniość jego użycia. Jest on aż pięćset razy tańszy.

Nowy motor ma być w najbliższym czasie wbudowany w samolot.

Jeśli nadzieje pokładane w nowym wynalazku spełnia się, może zrobić on zupełny przewrót w technice.

ROZWÓJ NAUKI O SKAMIENTAŁOŚCIACH.



Rogi Amona.

(Według Karola M. Langa „Historia lapidum figuratorum“, Wenecja, 1796.



(Dendryty). Pozorne skamieniałości roślin.

Już w czasach starożytnych zwrócili ludzie uwagę na osobliwe utwory kamienne, podobne do roślin i zwierząt.

Przyczyny tych skamieniałości, znajdujących nieraz w głębokich warstwach ziemi, tłumaczono sobie rozmaicie. Najcharakterystyczniejszym jest pogląd Erastotenesa, który uważał skamieniałości za szczątki dawnych zwierząt, pozostałe po cofnięciu się morza. Naogół starożytni uczeni szukali rozwiązania zagadki w przyczynach naturalnych.

Inaczej było w średniowieczu. Obok przyczyn naturalnych, przypisywano powstanie skamieniałości przyczynom natury metafizycznej. Niektórzy badacze wieku XVI, XVII i XVIII sądzili, że skamieniałości powstały przez kształtującą siłę soli w łonie ziemi, a inni jeszcze odwoływali się do wpływu gwiazd niektórzy uważali je za piękne pomyłki natury, a Marcin Lister, lekarz królowej angielskiej Anny, twierdził, że jakaś przyczyna nieznaną naśladuje w kamieniach formy muszel żyjących. Luidius wyobrażał sobie, że to pary morskie przenoszą nasiona ryb i innych zwierząt do warstw ziemskich i tak daje początek skamieniałościom, a Mikołaj Lang z Lucerny, lekarz i radca miejski starał się przebieg ten wytłumaczyć bliżej, dowodził bowiem, że rozproszone po ziemi nasiona żyjących zwierząt morskich pod wpływem magnetyzmu, pozostawały przyłączone do różnych ciał, dopóki nie rozbudziła się drzemająca „vis plastica“, która im dopiero postać nadała.

Atanazy Kircher, kamienie tego rodzaju figurami pokryte, uważał za utwory natury, a mógł ją sobie tak cudownie uzdolnioną wyobrażać, gdyż wszystkie tajemnicze siły przyrody jako wpływy wszechmocy boskiej pojmował. Jedne skamieniałości powstać miały przypadkowo, inne zostały w pewien sposób ukształtowane jak modele, a następnie stwardniały działaniem „siły kamieniotwórczej“, gdy w innych jeszcze razach próbowała natura piodzić formy do roślin podobne (dendryty), jeżeli przypadkowo zarodek roślinny dostawał się do miękkiego jeszcze kamienia.

I później nie brakło głosów, które w skamieniałościach nie dostrzegały szczątków istot żyjących, ale zwyczajne utwory natury.

Bystrości biegłych obserwatorów nie uszło jednak, że wprowadziły liczne skamieniałości bliskie są żyjących jeszcze teraz form zwierzęcych i roślinnych, albo też zupełnie są z nimi zgodne, ale inne pod każdym względem zgoła są różne. Aby więc tak wielkie różnice wytłumaczyć, przyjmowano, że obecne te formy pochodzą z głębi morza, którego świat, żyjący w XVII i XVIII w., tak bardzo słabo jeszcze był znany. Pomimo to niektórym badaczom odrębność wydała się zbyt wielką, by wszystkie te skamieniałości można było uważać za szczątki jednej epoki, dlatego też Leibnitz odwoływał się do kilkakrotnego zalewu ziemi, a Robert Hooke do różnych przewrótów, przez gwałtowne trzęsienia ziemi wywołanych. Hooke także zwrócił już na to uwagę, że pewne formy ograniczone są do oznaczonych okolic, a z wielkością żółwi kopalnych wnioskował, że w miejscach wykopalisk, w Anglii, panować musiał niegdyś klimat znacznie cieplejszy.

Później dopiero, nauka o skamieniałościach, wprowadzona na odpowiednią torę, stała się podstawą badań nad dziejami ziemi i oznaczenia jej wieku.

Zagadkę dziejów ziemi usiłowano w wieku XVIII wyjaśnić przez oznaczenie kolei pokładów, przez badania „statygraficzne“. Ponieważ oczywiście okolice, w których pokłady najmniej są zakłócone w stosunkach swego ułożenia, najjaśniej okazują, że warstwy wierzchnie młodzie być muszą, a niżeli spodnie, łatwo stąd zrozumieć można, że w tych właśnie okolicach

najpierw, jak już wyżej wspomniano, część dziejów ziemi na tej ostatniej drodze rozwikłana została; w Turyngii opracował je Fuchsel, a w Saksonii Werner.

Też samą drogę obrał we Francji ksiądz Giraud-Soulavie w badaniach gór wapiennych w Vivarais, nie zatrzymał się wszakże na obserwacjach stratygraficznych wyłącznie, ale wykazał, że każdy rząd pokładów, każda oddzielna nawet warstwa cechuje się osobną grupą skamieniałości. Tak poznał, że w stopniu najdolniejszym znajdują się w szczątkach skamieniałych wyłącznie wymarłe rodzaje zwierząt, jak amonity, belemnity, przewiertki (terebratule), gryfity itp.; w następnym, w najbliższym stopniu napotkał również liczne formy zwierzęce, dawno zaginione, obok nich wszakże i takie, które teraz jeszcze w morzach naszych żyją, jak chama, łódzik (nautilus), mięczaki grzebykowate itp. Wniósł stąd, że podczas tworzenia się owych osadów, formy, które przetrwały okres pierwszy, wraz z organizmami nowymi wymarły ku schyłkowi okresu drugiego. W trzecim okresie tworzenia, który reprezentowany jest przez wapień biały, miękkie, znalazły się jedynie formy teraz jeszcze żyjące, jak wotula, ostrygi itp., a zarazem i rumowiska bazaltu, z czego Giraud-Soulavie wniósł, że wybuchy wulkaniczne zatrzymały się już przed złożeniem tej formacji. W ten i podobny sposób umiał uczony i bystry ksiądz do swych celów chronologicznych zużytkować wszelkie wybitne zjawiska, wskazując tem drogę, jak dzieje ziemi najłatwiej odczytać się dają.

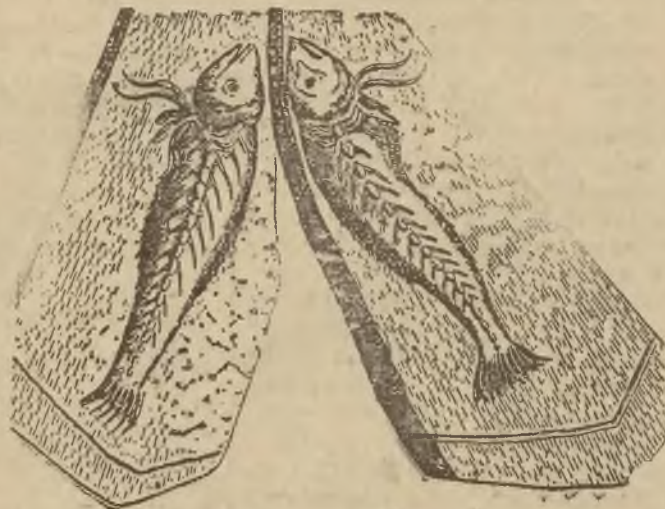
Proste jednak stosunki geologiczne i obfitość skamieniałości w okolicach Paryża, były zbyt ponętne, by nie zwróciły znów rósłto uwagi gorliwych obserwatorów przyrody. Tak już w drugiej połowie wieku XVIII poznał

musiały w pewnym, zupełnie oznaczonym porządku, a w całym obszarze dają się łatwo rozpoznać po swym charakterze petrograficznym i paleontologicznym, tj. według swego układu mineralnego i swych zawartości organicznych. Tak np. wykazali stanowczo, że istnieje wyraźny przedział graniczny między osadami kredowymi, a glina plastyczną starszej formacji trzeciorzędowej, i wnieśli stąd, że osady te rozpostarły się w warunkach bardzo odmiennych, a pomiędzy utworzeniem się jednego i drugiego upłynął długi odstęp czasu; dostrzegli też, że u podstawy gliny występują w różnych miejscach zlepione okruchów wapienia kredowego, a to doprowadziło ich do wniosku dalszego, że osady kredowe były już stwardniałe, gdy osiadała glina. Powyżej glin następują piaski, oraz w kilkakrotnej kolej warstwy wapienia i marglu, a obaj obserwatorowie zdołali wykazać, że następstwo ich wszędzie w jednakim porządku ma miejsce; chociaż niekiedy pewna ławica stawała się bardzo cienką lub brakło jej zupełnie, to wszakże można się było przekonać, że nigdy w żadnym wypadku nie znajdowano tej samej warstwy u spodu, która gdzieś indziej przypadała wyżej. Aby zaś rozpoznawać rozmaite ławice wapienia w różnych miejscach, Cuvier i Brogniart rozpatrywali poprostu skamieniałości, które się w ławicach tych zawierały, gdyż przekonali się, że w osadach, tworzących warstwę wspólną, zatem w osadach, które się utworzyły współcześnie i w jednakich warunkach, skamieniałości zawsze są ze sobą dobrze zgodne, typowe zaś skamieniałości, charakterystyczne dla każdej warstwy osadów, nie przechodzą nigdy do osadów wyższych, zatem młodszych, ale zastępują je tam formy nowe. Muszle wód słod-

oznaczano najpierw według właściwości skał i ich układu, ale już dosyć wcześniej zwrócono uwagę na skamieniałości i ich znaczenie; przyczynili się do tego zwłaszcza William Smith, który już w młodości swej zbierać zaczął w Churchill skamieniałości jurajskie, a w dalszym swym zawołanie, jako geometra, uderzony zmieniającą się naturą gruntu, skał i krajobrazu, zajął się gorliwie kwestjami geologicznymi. Pracując jako inżynier przy budowie kanału w Somerset zwrócił uwagę na pokłady i ich zawartości organiczne, a przytem poznał, że każda warstwa posiada skamieniałości które jej są właściwe, w przypadkach zaś wątpliwych może być według nich rozpoznana i od warstwy innych odróżniona. Nietylko wszakże zdołał oddzielić warstwy według ich skamieniałości rozpoznać, ale wykazał

wodne a warstwowe wtracił jeden jeszcze oddział, który nazwał skałami przejściowymi, przyjmując, że osady te wydzieliły się podczas przejścia ziemi z jej stanu chaotycznego do stanu na zamieszkanie przydatnego. Poznał, że w warstwach tych złożyły się najdawniejsze szczątki organiczne. Najważniejsze ich ogniwo składało się z twardego piaskowca, który miał nazwę lokalną „szarowaki” i zatrzymał ją do obecnej chwili.

Skały warstwowe Wernera zostały zaraz w początkach wieku XIX przez poszukiwania Cuviera, Brongniarta i Williama Smitha rozwiązane na trzeciorzędowe i drugorzędowe z ich podziałami dalszemi, skały wszakże przejściowe opierały się długo usiłowaniom rozczłonkowania chronologicznego, aż wreszcie trudne to zadanie pokonał



Odcisk ryby na kamieniu.
(Według A. Kirchnera 1665 r.).

na to, że dokładna znajomość stosunków geologicznych dawać może wielką korzyść i w życiu praktycznym, jak w rolnictwie, górnictwie, przy budowie dróg i kanałów, w sprawie zaopatrywania miast w wodę i w wielu innych podobnych zadaniach. Późniejsze podróże oswoiły go z formacjami geologicznymi całej Anglii, coraz nowe spostrzeżenia łączyły się z ogółem poprzednich. Już w roku 1799 zestawiał mógł spis wszystkich formacji w Anglii, poczynawszy od węgla kamiennego w górę aż do kredy, z wykazem grubości oddzielnych ogniw, natury skał i ich skamieniałości typowych, chociaż pierwotnie praca ta w rękopisie pozostała. Dopiero w roku 1815 ogłosił zdołał swój atlas geologiczny Anglii w 15 kartach, z wyjaśnieniem obejmującym 50 stron, w którym po raz pierwszy wprowadzona została znaczna liczba teraz jeszcze używanych terminów geologicznych.

Skoro w ten sposób, przez Cuviera i Brongniarta z jednej, a przez Williama Smitha z drugiej strony, wykazane zostało doniosłe znaczenie skamieniałości przy dochodzeniu wieku warstw skalnych, rozpoczęła się wszędzie pomyslna praca na polu dociekań geologicznych. System Wernera rozpadł się w gruzy, a miejsce jego zajął nowy system chronologiczny, którego wzniesieniem zajęto się gorliwie we wszystkich krajach oświeconych. Stąd też pochodzi różnorodna terminologia, która się z biegiem czasu wyrobiła na oznaczenie oddzielnych formacji i ich podziałów, piętr i stopni, a potem na drodze porozumienia międzynarodowego powszechnie się utrzymała, gdy oczywiście również liczne terminy, niegdyś bardzo rozpowszechnione, musiały z widowni ustąpić, albo też obok nazw nowszych w ograniczonych tylko utrzymały się obszarach; wiele nazw lokalnych zyskało w ten sposób znaczenie powszechne. Inne formacje otrzymały nazwy od pewnej, szczególnie ważnej ich części składowej, jak formacja węgla kamiennego, albo też nazwę całej formacji nadała jakaś skała wybitna, jak kreda.

Werner pomiędzy swymi skałami pierwotnymi a warstwami aluwialnymi umieścił początkowo jedynie skały warstwowe, jako ogniwo pośrednie w przebiegu czasu i w budowie geologicznej. Następnie pomiędzy skały pier-

zdołali Roderyg Impey Murchison i Adam Sedgwick. Murchison, którego młode lata wypełnione były służbą wojskową i polowaniem na lisy, dopiero w 32 roku życia zajął się nauką geologii i odtąd z nieprzerwanym zapalem oddany jej pozostał, a w roku 1831 przedsięwziął pierwszą swą podróż do Walii, by zbadać i rozdzielić tak dotąd nieuchwytną szarowakę. Poniżej starego piaskowca czerwonego pod Cavanham Ferry napotkał warstwy wypełnione skamieniałościami i śledził je, jak myśliwiec tropił ślęganego zwierza, w całej ich rozciągłości podczas podróży czteromiesięcznej, by zyskać trwałą podstawę do poszukiwań dalszych; poznał wtedy charakterystyczne skamieniałości tych warstw i położył tem podstawę swego systemu „sylurskiego”, biorąc tę nazwę od zamieszkującego te strony w czasach rzymskich narodu Sylurów. Współcześnie prawie przyjacieli jego i współpracownik Sedgwick nazwał systemem kambryjskim układ skał jeszcze dawniejszych, które zbadał w Walii północnej, ale odgraniczenie systemu tego od Syluru nastąpiło trudności co między dawnymi przyjaciółmi wywołało spór rozstrzygnięty. Badania wszakże Joachima Barrande'a starych formacji czeskich i ich skamieniałości przyczyniły się wielce do odgraniczenia obu tych systemów, kambryjskiego i sylurskiego, i do usprawiedliwienia ich odrębności.

William Lonsdale, na podstawie dokładnych badań skamieniałości, wprowadził między sylurem a formacją węgla kamiennego trzecie jeszcze ogniwo dawnej szarowaki, a od hrabstwa Devonshire, gdzie formacja ta najpierw zbadała została, otrzymała ona nazwę dewonu. W ten sposób skały przejściowe Wernera rozwiązały się na trzy formacje, a tem samem zaprowadzony został ład w najdawniejszych pokładach skalnych, zawierających w sobie skamieniałości, wkrótce jednak badawcza sonda geologów zapuściła się jeszcze dalej, do najstarszych głębi skalnych; A. C. Ramsay mianowicie wykazał w Walii warstwy przedkambryjskie, a William Edmund Logan oddał się przeważnie badaniu gnejsów, łupków mikowych i pierwotnych łupków glinkowych, które na lądzie północno-amerykańskim tak ogromne zajmują przestrzenie.



Osobliwe rysunki na kamieniach.
(Według A. Kirchnera 1665 r.).

chemik Rouelle, że uporządkowanie skamieniałości jest statyczne i prawidłowe, że pewne warstwy w pobliżu Paryża pełne są ślimaków z rodzajów cerithium i turritella, gdy w obwodzie dalszym następuje pasmo skał z zawartością amonitów i belemnitów itd. Dokładne wszakże badanie zagłębia paryskiego pod względem układu warstw i skamieniałości rozpoczął dopiero w początku wieku XIX wielki anatom Jerzy Chrystian Leopold Dagobert Cuvier, wraz ze swym współpracownikiem Aleksandrem Brogniart, wykazali oni nietylko, że oddzielne pokłady w oznaczonym po sobie następują porządku, ale wyróżnili też ściśle organiczne ich zawartości, poznali, jak skamieniałości te są rozłożone i w jaki sposób zostały przechowane. Po dokładnem rozważeniu wszystkich tych spostrzeżeń doszli obaj badacze do wniosku, że formacje zagłębia paryskiego wytworzyły się z osadów w wielkiej odnodze morskiej lub w jeziorze; osady te następować

kich, napotkane w poziomach wyższych, dają obu badaczom dowód, że osady wytworzyły się musiały w jeziorach słodkowodnych; inne warstwy okazały się od skamieniałości wolne, w warstwach zaś najmłodszych, aluwialnych, w napływach dolin, wykazać można było kości słoni i pnie drzewne.

W ten sposób Cuvier i Brogniart nietylko wyróżnili i rozklasyfikowali osady geologiczne w ograniczonym obszarze okolic Paryża, ale wskazali zarazem drogę, na której przy pomocy skamieniałości, na całej ziemi oznaczyć można wszędzie wiek warstw i formacji oddzielnych.

Gdy we Francji do dokładnych badań zachęciły najpierw osady trzeciorzędowe, bogate w skamieniałości i prawidłowo ułożone, a w następstwie doprowadziły do metod paleontologicznego dochodzenia wieku warstw, to w Anglii podobną rolę odegrały dawniejsze formacje „drugorzędowe”. I tu także, jak gdzieś indziej, następstwo warstw

Dr. Eug. Słuszkiewicz.

INDJE I ABISYNJA.

Starożytne państwo abisyńskie, którego początki sięgają w I-go po Chr., zawdzięcza zawiązanie stosunków z Indjami przede wszystkim otwarciu bezpośredniej komunikacji morskiej między Egiptem a Indjami. Stosunki Aleksandrii z Indjami za późniejszych Ptolemeuszów egipskich t. j. w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej, musiały być wcale żywe, skoro w pewnej farsie greckiej z Oksyrynchos barbarzyńcy, którzy uprowadzają Greczynkę, mówią znowu własnym językiem, językiem kanacezyjskim (t. j. południowo-indyjskim). Znano nawet język mieszkańców Indji. Od najdawniejszych czasów Egipcjanie przedsięwzięli podróże na wybrzeże wschodniej Afryki, a w epoce hellenistycznej, gdy Ptolomeusze starali się zawiązać komunikację z Indjami drogą morską, by nie być zależnymi od drogi lądowej, opanowanej przez Seleucydów (następców Seleukosa), puścili się i na Ocean Indyjski. Po zburzeniu państwa Meroe w r. 22 przed Chr. powstaje państwo Aksum, a miasto portowe Adulis

Podróżni z Grecji, jadący do Indji, zawijali w Adulis; źródła greckie donoszą, że pomiędzy Adulis a Cejlonem istniała komunikacja handlowa bezpośrednia. Czytamy niejednokrotnie o imporcie towarów indyjskich do Adulis i na wybrzeże Somali. Gdy zaś Portugalczycy odkryli z końcem średniowiecza drogę morską do Indji Wschodnich, podążyli wkrótce i dalej i dotarli do Abisynji; w mieście Mossana zastali kolonję kupców indyjskich z cechmistrzem na czele. W czasach najnowszych wreszcie widzimy, jaką ważną rolę odgrywają kupcy indyjscy (t. zw. „banjanowie”, z ind. *wanigdzana*) na całym wschodnim wybrzeżu Afryki aż po Madagaskar i słyszymy o nich w mieście portowym Massana, w Asmarze, stolicy kolonii włoskiej, Erytrei; w miastach portowych francuskich, angielskich i włoskich na wybrzeżu Somali, a także w Addis Abeba, dzisiejszej stolicy królestwa abisyńskiego. Nasuwa się zatem pytanie, jaki wpływ wywarli Hindusi na Abisynję w czasach dawniejszych i w nowszych.

Z góry już możemy być pewni, że tych przeróżnych zdobyczy indyjskiej kultury duchowej, które przedostały się do całego prawie świata cywilizowanego, nie mogły przejąć ów napół dziki kraj wschodnio-afrykański. W pierwszych wiekach naszej ery wytwarza się wprawdzie w państwie aksumskim pewna kultura materialna i pojężne monolity aksumskie świadczą dziś jeszcze o zapędach ówczesnych królów abisyńskich; lecz do wytworzenia wyższej kultury duchowej brakło odpowiednich warunków. Przez całe średniowiecze Abisynja chrześcijańska toczy wojnę z muzułmanami, żydami i poganami i wyczerpuje się w tej wiecznej walce. Życie duchowe Abisynji ograniczało się do kultury klasztornej, wykultej na podłożu chrześcijaństwa koptyjskiego. Arabowie nie mogli pośredniczyć w przyjmowaniu zdobyczy kultury duchowej z Indji — z powodu rozbieżności religijnej; nawet liczba indyjskich nie przejęli Abisyńczycy.

Nie znajdujemy też prawie żadnych śladów bogatego świata bajek indyjskich w Abisynji: bajki zwierzęce, tak ulubione w Afryce, są, zdaje się, przeważnie pochodzenia rodzinnego. Wpływ Indji na Abisynję zatem dotyczy prawie tylko zakresu kultury materialnej, zwłaszcza, że w komunikacji pomiędzy obu temi krajami pośredniczyli przeważnie kupcy.

Dość dawno już przypuszczano, że istnieje jakiś związek między indyjskim pismem najbardziej znanym w Europie i najszerzej używanym w Indjach t. zw. *devanagari* a etjopskim pismem samogłoskowym. Ba-

dania niemieckiej wyprawy do Aksum wykazało, że historia pisma abisyńskiego przedstawia się następująco:

Semici abisyńscy, którzy przywędrowali z Arabji południowej, używali naprzód na swych napisach pisma i języka sabejskiego (t. j. południowo-arabskiego); później prawdopodobnie przez trzy pierwsze wieki naszej ery — używali i nadal pisma sabejskiego, pisząc jednak już w własnym języku literackim, który odbiegł dość daleko od języka literackiego Arabji południowej; wreszcie około r. 300 prawdopodobnie wytworzyli sobie własne pismo, pozbawione jeszcze znaków dla samogłosek (jak to jest wogóle pierwotnie w językach semickich), lecz czytane już od lewej ku prawej — na wzór pisma greckiego. Około połowy w. 4-go po Chr. zaopatrzone znaki spółgłoskowe kreskami i haczykami, mającemi oznaczać samogłoski; tą nowość pochodzi prawdopodobnie od misjonarzy chrześcijańskich, którzy musieli liczyć się z praktyczną stroną swych ksiąg.

Misjonarze ci byli — jak to wykazuje ich sposób traktowania imion biblijnych — Semitami, znającymi język grecki; prawdopodobnie byli to chrześcijanie Syryjczycy, którzy przybyli do Aksum przez Egipt i Arabję południową. Według relacji historyka kościelnego, Rufina wyładował Mecopjusz, filozof tyryjski w podróży powrotnej z Indji w Abisynji i tam zamordowano go wraz z towarzyszącymi podróżnymi; uratowali się tylko dwaj jego krewni Frumencjusz i Edejsjusz, których zaprowadzono na dwór w Aksum. Frumencjusz działał też podobno potem na korzyść

chrześcijaństwa; był biskupem w Aksum około r. 350.

Jeśli zważyć to wszystko, to rzeczywiście wydaje się możliwem, że misjonarze abisyńscy mieli styczność z misjonarzami indyjskimi i że słyszeli od nich o indyjskim piśmie samogłoskowym (t. j. mającemi znaki osobne dla samogłosek), co mogło naprowadzić ich na myśl wynalezienia znaków samogłoskowych i dla pisma abisyńskiego. Lecz o większym jakimś wpływie pisma indyjskiego myśleć nie można; przeczy takimemu przypuszczeniu zupełny brak podobieństwa między znakami samogłoskowemi obu pism.

Tyle o piśmie.

Kilkanaście lat temu przedsięwzięła włoska ekspedycja kopanie na miejscu dawnego miasta portowego Adulis. Wśród wykopalisk znaleziono pieczęć, która pochodzi może z Indji; zdaje się, że zawiera nazwisko kupca indyjskiego („Banjana”) z dawnych czasów.

W relacji kupca greckiego z 2 połowy w. I-go po Chr. czytamy, że do Adulis przywożono indyjskie żelazo, stał indyjskie tkaniny bawełniane; że na wybrzeże Somali przywożono z Indji m. in. zboże, ryż, olej sezamowy, tkaniny bawełniane, miód z trzciny cukrowej. Dziś jeszcze sprowadza się na wybrzeże Somali materje z Indji, które też po części zachowują swą nazwę w języku Somaliów.

Szafy jedwabne prawdopodobnie dostały się przez Persję i Arabję; lecz przypuszcza się, że przewożono je także z Chin przez Tybet do Indji, a stamtąd drogą morską na zachód, a nawet, że istniała od dawna komunikacja morska, między Abisynją a Chinami południowemi.

Lecz wróćmy do stosunków z Indjami. Jak gdzie indziej tak i tu wielce pomocnem okazuje się przejście słownictwa. Wiadomo powszechnie, że wraz z rzeczą obcą przejmie się często i nazwę jej obcą — tak, że nieraz z losów wyrazów można wnosić o drodze, jaką wędrowały dane rzeczy. Z drugiej strony jednak czasem oznacza się nazwą obcą i własne rzeczy — lub naodwrot: rzecz obcą nazywa się po swojemu.

Otóż Abisyńczycy mają sporą liczbę wyrazów zapożyczonych z Indji. Podzielić je można na trzy grupy: 1) wyrazy staroindyjskie przejęte przez Abisyńczyków bezpośrednio; 2) wyrazy starsze i nowsze indyjskie, które dostało się do literackiego języka Abisynji już to poprzez greckie, już też poprzez arabskie — przy sposobności tłumaczenia; 3) wyrazy nowoindyjskie w nowożytnych narzeczach ludowych Abisynji.

Do grupy pierwszej należą wyrazy *sokar* = cukier i *nage* = słoń. Z cukrem rzecz jasna: miód z trzciny cukrowej sprowadzono z Indji. Indyjska nazwa *siarkaca* (od której w ostatniej linii pochodzi i nasz cukier i wogóle nazwa europejska *cukru*) dostała się z jednej strony drogą lądową przez Persję i Azję Mniejszą do Greków i Rzymian, a z drugiej — drogą morską przez wschodnią Afrykę do Arabji. Arabowie podali rzecz samą i jej nazwę w średniowieczu dalej — t. j. do Europy. Dla słonia mają Abisyńczycy nazwy własne (t. j. semickie), bo jest to zwierzę, żyjące w Abisynji od dawna. By wytłumaczyć, dlaczego Abisyńczycy przejęli nazwę obcą (słoń po indyjsku nazywa się *naga*), przypuszczano, że importowano dla celów wojennych wielkie ilości słoni indyjskich i że te właśnie słonie oswojone w przeciwieństwie do dzikich słoni afrykańskich oznaczono nazwą obcą. Lecz przypuszczenie to jest nieprawdopodobne z różnych względów. Możliwe, że Abisyńczycy usłyszeli nazwę te obcą od kupców indyjskich w Adulis i zaczęli nią oznaczać także własne słonie, z początku może tylko oswojone słonie dworu królewskiego. Nazwa obca brzmiała ładniej czy lepiej niż swojska i przyjęła się w języku literackim.

Słowa indyjskie, przejęte za pośrednictwem greckiego lub arabskiego dotyczą głównie drogich kamieni, korzeni i wonności t. zn. rzeczy, z których posiadania Indje oddawna słynęły. Są to: beryl, (ind. *waidurgja*), cynamon, indygo (nasza nazwa z gr. *indikon* = „indyjskie”; po ind. *nila*, skąd nasza *anilina* poprzez arab.), kamfora (ind. *karpura*), nard (ind. *nalada*), nosorożec (indyjski ma jeden róg, afrykański dwa), paw, pieprz (ind. *pippali*), piżmo, szachy (ind. *czaturanga*; nasza nazwa z perskiego *szach* = król), szafir (ind. *sianiprija* gr. *sappheiros*), szmaragd (ind. *macakata*, gr. *smaragdus*), topaz (według starożytnych pochodzący z wyspy Topazus, podobno Ceilonu, gdzie i dziś się znajduje topazy).

Wreszcie wyrazy pochodzenia nowoindyjskiego występują przede wszystkim w języku Somali, lecz także i w kilku innych językach Abisynji. Niektóre z nich przejęte poprzez arabskie, inne bezpośrednio (stosunki pomiędzy angielskim Somali a angielskimi Indjami są bardzo bliskie). Do tej grupy należą nazwy „banjana” (kopiec), dzbana, dzwonu, imbiru (ind. *śrugawera*), skąd i nazwy europejskie), kart do gry (np. królowa, as; nazwy kół, namiotu, orzecha kokosowego, płótna, policji, ryżu (w Abisynji zdaje się, zapoznano się z nim dopiero w średniowieczu; ind. *wrihi*), sandałowego drzewa (ind. *czandana*), tabaki, pochodzącej z ind. miasta Surati i nazwanej od niego), wozu.

Taniec jako... modlitwa.

Zakon derwiszów, tancerzy, założony został w Konii w w. XIV. przez słynnego poetę perskiego Dżelaleddin Rumi (1297—1373). Członkowie jego składają ślub ubóstwa, wyrzeczenia się wszelkich dóbr ziemskich. Życie ich schodzi na doskonaleniu się moralnem, zbieraniu jałmużny i wspomaganiu nieszczęśliwych. Wyrazem religijnym zakonu tego jest taniec.

Koncepcja ich filozoficzna zbliża się najbardziej do panteizmu, odrzucając wszelkie objawienie.

Spełniając przykazania Proroka, derwisze zawierają związki małżeńskie, przyjmując zazwyczaj dzieci stąd powstałe do swego zakonu. Żyją w gminach z funduszów możnych ofiarodawców, pracując ciężko jednocześnie, jako zwykli wyrobownicy.

Pragnący wstąpić do zakonu derwiszów Mewleweli musi poprzednio poddać się ciężkiej próbie, która trwa 1001 dni, czyli dwa lata i dziewięć miesięcy. Przez cały ten czas neofita wykonywuje kolejno najmłodziej i najniższe roboty w przyszłej swej gminie. Po ukończeniu ich, kandydat staje się członkiem zrzeszenia, zdobywa uroczyste odpuszczenie grzechów, otrzymuje strój zakonny i małą celę, lecz dopiero znacznie później spotyka go zaszczyt najwyższy, uczestniczenia w świętym tańcu.

Trzeba zaś wiedzieć, że taniec daje derwiszom zapomnienie, prowadzi do szczęścia mistycznego, do szalu.

„Tekke”, czyli dom modlitewny derwiszów ma kształt dużej okrągłej sali o błyszczącej posadzce; otaczają ją krużganki dla publiczności, przeważnie obcej, z okratowaną łóżką dla muzułmańskich kobiet.

Tu właśnie odbywają się tańce, które stanowią modlitwę.

Na obrzęd modlitewny schodzą się derwisze ubrani w białe tuniki, z wysokimi kołpakami z sierści wielbłądziej na głowie.

Przed rozpoczęciem tańca siadają derwisze w półkole. Szeik, główny kapłan modli się półgłosem. Trwa to dość długo. Wreszcie słyszeć się daje dźwięk fletu.

Derwisze w półkole zaczynają drgać. Pod wpływem wschodnich motywów cudownej muzyki powstają derwisze i, rozpoczyna się taniec.

W białych tunikach krążą na swych miejscach, rozdymając płaszcze w kształt porcelanowych figurek o ukrytym gdzieś pod ziemią mechanizmie. Co pewien czas pochylają głowy i ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma kłaniają się sobie.

Taniec taki trwa długo, bo blisko pół godziny. Parokrotnie szeik wstrzymuje tancerzy, których oczy, wpatrzone w dal, zaćmione ruchem wirowym, nie widzą już nic, a ciała drgają od nadludzkiego wysiłku. Ręce wyrażają gesty symboliczne: prawa oddaje gest prośby, lewa — dawanie jałmużny. Głowy, niby węże, zastygają w tym wirze rytmicznym. Każdy z mnichów całuje szeika nabożnie w rękę.

I znów, głowę dumnie w tył odrzuciwszy, unosi się w zawrotnym tańcu jeden po drugim, a tak posuwając się po poskokowych deskach, że wydaje się raczej automatem, aniżeli żywym człowiekiem. W tańcu tym nigdy jeden nie dotknie drugiego; obracają się jakby na osiach, symetrycznie i koncentrycznie krążąc dookoła mistrza, który, sam zarażony świętym szalem, od czasu do czasu rozpościera czarne ramiona i, jak wielki, złowieszczy sęp, zatacza na miejscu kręgi.

WILA TABACZYŃSKA.

Z CYKLU „SKRZAT”.

PO POCHYLEJ LINII.

(NOWELA).

Wojna zmieniła losy państw i losy ludzi, stosunki i obyczaje — zmieniła mapę Europy i mapę prywatnych mieszkań, w których rekwirowano, lub odnajmowano pokoje — wstrząsnęła też zwyczajami i usposobieniem Skrzatów.

Kiedy w domach wybuchnęły pierwsze objawy zdenerwowania wojna, głośnie i ciche narady, biegania od strychu do piwnic, znoszenie i ukrywanie żywności, kiedy z ulicy dolatywał tupot maszerujących wojsk i okrzyki tłumów, kiedy dziewczęta pędziły do okien, powiewały chusteczkami i ciskały żołnierzom kwiaty; kiedy chłopcy wybiegali i wracali o niezwykłych porach dnia — Skrzaty, ucieszone tem rozprężeniem zwykłego trybu życia, z rozkoszą pływali się w atmosferze, przeładowanej niepokojem, ruchem i hałasem. Brały we wszystkich wydarzeniach udział goniąc, patrząc, słuchając. Nie miały czasu na psoty i zapomniały o nich.

Zresztą poco chować naparstek czy klucze, lub wyciągać igłę z roboty, kiedy i tak wszystko się zapodziało, porzucane co chwila przez wzruszone kobiety? Poco płać nitkę, gdy żona w pośpiechu przyszywa srebrne wężyki do kurtki męża, kiedy jej ręce drżą i nitka się supła? Poco pobudzać dzieci i zwierzęta do pisków i wybryków, kiedy same z siebie krzyczą i broją nad miarę? Przestało bawić szmeranie po atłasowej buzi niemowlęcia, aby uśmiechało się przez sen; dmuchanie w nos lub ucho psa, aby się otrząsał; poszturkiwanie go i szczypanie, by szczełkał raz i drugi. Nie czekał już Skrzat niecierpliwie na powrót kota z wędrówki, by wyprawiać z nim harce przez stoły i kanapy. Był najzupełniej szczęśliwy.

Rozkosz ta trwała do czasu. Ożywione mieszkania zaczęły pustoszeć. Znikali mężczyźni, co Skrzata nie obchodziło wielce. Zajmowali dużo przestrzeni i za ich wejściem dom zmieniał wygląd i nastrój. Byli nieporządni, lubili rządzić i gniewali kobiety. Z jaką złośliwą radością mruczał niejednokrotnie: Maszci hultaju! zadowolony, że mężczyźni ponoszą karę za swoje przewiny. Ale znikła także młodzież, która wносиła w dom właściwe życie. Brak jej odczuwał Skrzat tem mocniej, że kobiety były zapracowane i przygnębione. Snuły się za niemi niepewność i oczekiwanie; zbierały się nad ich głowami jak chmura i rosły w grozę. Z chmury tej padały gromy, które rozpętywały okropne łkania i oblekały kobiety w żalobę i smutek. Ich wielka boleść budziła w Skrzacie coś w rodzaju współczucia. Jednak wprędce spowszedniały mu ich lzy i twarz wędnała. Osowiał, a raz zatruty jadem ostrych podnieć, przełamywał dawne zwyczaje. Już nie za kobietami, ale sam włóczył się po piętach i zakamarkach domów; wysiadywał na dachu za dnia, lub w nocy; szukał towarzystwa innych Skrzatów, urządził formalne wiece, które wypełniała plotka, pospołu z fermentem niechęci do praw odwiecznych.

Taki osowiały i zbuntowany Skrzat wystawił łebek z za pleca i ziewał. Nudził się. Pani zubożniała, na wszystko nie gniewała się, nie śmiała, ani dziwiła jego figlom. Co najwyżej przywoływała Kasię z kuchni, aby poszukała zagubionej drobnostki. Kasia gderwała, ale Skrzat odnosił się z pogardą do takich wyników. Co miał począć z sobą w tem osieroconem mieszkaniu, gdy do włóczęgi nie miał ochoty? Honor Skrzatów zobowiązywał

go do wierności kobiecie, przy której ognisku zasiadł. Złorzeczył temu, przypominając opowieści wiecowe w domach pełnych ludzi.

Na odgłos dzwonka skrzywił się jak małe diable. To pani wracała z kościoła. Przejdzie cicho przedpokój, powiesi rzeczy w szafie, stanie przed portretem męża i syna, weźmie ich listy do reki i w mieszkaniu dalej będzie trwała nuda. Nagle zastawił uszy. Z panią wszedł ktoś drugi. Skrzat, jak sprężyna z miejscy wyrzucony, pomknął do pokoju, do którego weszła pani z bratem, mówiąc w dalszym ciągu:

— ...wiec nie wiem, czy długo jeszcze zdołam się utrzymać w tych warunkach.

— Prosta na to rada. Odnajmij część mieszkania.

— Ah — broniła się pani jęklonie — obcy ludzie w domu.

— Wyjdziesz na prowincję. Dla ciebie nawet lepiej. Nietylko życie tańsze, ale będziesz miała spokój i powietrze zdrowsze.

Pani zaczęła płakać.

— Tu są groby. I nie dam rady, nie mam sił. Tyle rzeczy, taki kłopot z pakowaniem i wyjazdem.

Brat miał już na ustach uwagę o zacoianym sentymentalizmie i niedoświadczeniu, ale spojrzawszy na znekowaną twarz pani rzekł tylko:

— Słuchaj, trzeba się umieć do konieczności życiowych zastosować. Nieprzyjemność, kłopot, głupstwo! Rachunek to grunt! Jeżeli sama mówisz, że...

Przez cały czas wizyty tłomaczył, rachował, obchodził pokoje, doradzał co w nich zmienić w razie wynajmu i ostatecznie napisał ogłoszenie, które Kasia zaniósła do sklepu na dole.

W rezultacie jest trochę rozdrażnienia, jest odmiana, która przybiera większe rozmiary, bo oto po długich naradach z Kasią, przesuwając meble z pokoju do pokoju, Skrzat przestaje się nudzić. W pierwszym zachwycie szaleje i wyprawia nieprawdopodobne skoki. Urządza kawalerskie jazdy na szafach; ześlizguje się z nich, by się wykoziłować po łóżkach i kanapach; rozplera się na małych nóżkach i rozczapierzonemi rączkami popycha sprzęty razem ze służącą i stróżem. Chichocząc rządzi skrzeczącym głosem, chociaż nikt go nie widzi, ani słyszy. Tego wieczora zasypia szczęśliwy, marząc o młodych kobietach, dzieciach i zwierzętach.

Któregoś dnia, wróciwszy z wędrówki, przyłożył nosk do jednych drzwi. Poczul za niemi obcą osobę. Obwąchał ją i skrzywił się z niesmakiem:

— Pfe... mężczyzna...

Lecz w tych warunkach był skłonny do pewnego ustępstwa.

— Zawsze to coś...

Wreszcie pogodził się zupełnie z obecnością mężczyzny w mieszkaniu.

— Phi... pan domu!

Będą czułe i gniewne sceny małżeńskie, zaczęły bywać goście, może zjawi się dziecko, a przynajmniej pies?

Pan domu okazał się dziwolągiem. Nie wchodził do sypialni i nie zasiadał z panią przy stole. Znikał w swoim pokoju tak szybko, że Skrzat znał tylko jego sylwetkę wysoką i szczupłą, z wiechą jasnych włosów, odrzuconych z czoła. Rozczłonny doznany zawodem, typał obrażonemi oczkami na panią i powrócił do uprzykrzonych już wędrówek po całym domu. W oczekiwaniu jakiegokolwiek upragnionej zmiany, przystawał nieraz w przedpo-

koju i wkrótce spotkała go miła niespodzianka. Usłyszał cichutkie nucienie. Kierując się niemi, odnalazł drzwi — obok pokoju pana, — za którymi śpiewając stapała lekko młoda dziewczyna.

Odtąd życie nabrało barwy i światła nietylko dla Skrzata. Pani się trochę rozpogodziła, stara Kasia była ruchliwsza i mniej gderliwa, a młody człowiek tracił czas i spokój ducha, wsłuchując się w życie za ścianą. U panny Sławki, jak i w całym mieszkaniu, bywało nieraz głośnie, przyjmowała znajomych, śpiewała coraz donośniej, coraz częściej wchodziła do pokoju pani, lub wpadała do kuchni, by podrażnić Kasię niewymyślnym żartem.

— Kasiu — wołała, otwierając drzwi z impetem i błyskając wesołymi oczami — szło ze mną dzisiaj dwóch chłopców. Jeden mi się oświadczył.

Kasia chciała być uprzejmą i próbowała być dowcipną.

— Tylko jeden? — pytała, strojąc rzetelnie głupią minę.

— Jeden. I to o ciebie. Powiedziałam, że jesteś jeszcze za młoda.

Kasia rechotała zabawnie, cytując dobroduszenie swojski wierszyk:

— Stara panna plecie wieniec, a siedzi przy niej młodzieniec. Stara panna szczerzy zęby, chętnieby mu dała gęby.

— Kasiuniu powtórz! Jesteś boska!

Sławka śmiała się rozbawiona, Kasia spoglądała na nią podejrzliwie, potem karcila ją surowo.

A pani uśmiechała się z daleka, pewna, że za chwilę wsunie się do jej pokoju ciemna główka o czarnych żywych oczach i dużych, świeżych ustach, zawsze skorych do śmiechu i rozmowy.

Skrzat wciskał się często do pokoju panny Sławki, neony wnętrzem, w którym odnajdywał technię i urok kobiecości. Przeglądał się w lustrze, maczał nosk w pudrze, dotykał pantofelków, brał w paluszek kraj koronkowej kapy na łóżku i tarzał się po różnobarwnych poduszkach, rozrzuconych na kanapie. Na tej kanapie dostrzegł raz w zmroku dwa tulące się do siebie cienie.

Tego wieczora pani często wzdychała, a Kasia chodziła zła i nadęta. Powiedziała pani, że gość Sławki wychodził z ciemnego pokoju.

— A to przecie nieładnie — srożyła się Kasia.

Ciężka to była chwila. Wyrwała panią z jej biernego bytowania i zmuszała do zajęcia stanowiska wobec czegoś, co było jej obce, co wydawało się nadliczbowa, niczem niezawinioną przykrością w jej życiu. Rozżaliła się nad swoim losem i po długich wahaniach postanowiła pomówić ze Sławką nazajutrz. Acz z trudem, zdobyła się na kilka uwag o takcie i pozorach, o konieczności zapalania światła we właściwej porze, o przyjmowaniu kolegów tylko we dnie, a najlepiej w towarzystwie.

Sławka słuchała z powagą. Zachowywała ją do końca, mimo, że pod spuszczonemi powiekami tliła się isierka przekornego śmiechu z tych wszystkich „nie wypada“, które ostatkiem tchu, zablakały się nagle w jej życiu. Nie tłomaczyła się, ani broniła. Z lekceważeniem odrzucała wręcz rupiecie pojęć dawno przebrzmiałych. W myśl jej błakały się żartobliwe powiedzenia o całusach, które zmyć można, o platonicznej miłości, która jest lizaniem cukru przez szybę i bezkrytycznie powtarzane urywki zdań o zasadniczej zmianie w życiu nowoczesnej ko-

biety, która na równi z mężczyzną ma prawo korzystać z wszelkich zachceń młodości. Jedynie dla zakończenia rozmowy szukała odpowiedzi. Nasunęła się jej najbliższa, bo z wczorajszego wydarzenia wzięta, a zarazem w prostocie swej przewrotna.

— Lubię szarą godzinę.

Spojrzała swobodnie w oczy pani, a po ustach jej błakał się swawolny uśmiech dziecka, które z figłów sięga po odebrany przysmak.

Prostota i spokój Sławki oddziaływały dobroczynnie na panią. Z uczuciem ulgi powtórzyła:

— Z pozorami trzeba się liczyć, kochanko. Posłuchasz mnie, prawda?

— Tak. Odtąd będzie u mnie zawsze jasno.

Pani odetchnęła. Uważała rozmowę za skończoną. Zawikłanie rozplatała szczęśliwie.

Sławka, wróciwszy do siebie, chodziła po pokoju nucąc. Pocałunki dawały jej wzruszenia powierzchowne. Sprawiały jej przyjemność i nie wstydyły jej. Nie budziły pragnień, o których wiedziała, że istnieją. Bawiła się i chciała się bawić dalej. Pozory? Cóż? Nie zastanawiała się nad niemi dotychczas, bo tak się składało, że właściwie z niczem nie kryła się do tej pory. Ot, niekiedy głupstwo zdarzyło się i minęło, bez zdawania z niego sprawy sobie, nikomu. Ale podczas rozmowy z panią, życie, w pojęciu jej, rozdzieliło się na dwa prądy: jawny i ukryty i teraz, podśpiewując, uśmiechała się do myśli, że ludzenie drugich jest zabawne.

Być może, że inne słowa byłyby, sięgnęły głębszych warstw jej duszy. Ale dla pani nie istniały zagadnienia dawne, czy nowe, a już najmniej zdawała sobie sprawę z tego, że wojna podważyła i wywracała zasady, pojęcia i wierzenia. Stosunek dwóch płci był dla niej zawsze tradycyjną wolnością mężczyzny i tradycyjnym skrepowaniem kobiety i chociaż niekiedy zasłyszala to, lub owo, chociaż chwilowo zdumiewała ją to, lub tamto, poprzestawała na przyjęciu danego zdarzenia do wiadomości. Nie zaniepokoiła się też serdeczniej postępowaniem Sławki i nie znalazła dla niej słów bardziej ważkich.

Nie wzięła Sławki za rękę, by zanurzyć się z nią w odmetry, których wiry splukiwały wartości życia w żwir i muł. Nie dobywała ich stamtąd, by je oglądać raz jeszcze i przekonać się, czy stały się naprawdę nieużytkiem, balastem, hamującym bieg człowieka ku nieznanym i świadomym celom. Nie zadawała sobie i Sławce pytania, czy czystość kobiety stała się zbyt czystą cnotą? Czy słusznem jest mniemanie, że człowieczeństwo, dając jej te same żądze, a życie te same podnieć, które powodują mężczyznę, kryje w tej tożsamości nieodparte nakazy? Nie rzuciła się myślą wstecz i w przyszłość, by ogarnąć wzrokiem wielki gmach budowy świata społecznego. Nie upatrywała, czy ta lekceważona cnota jest w niem tylko ozdoba, czy kolumną, podtrzymującą część stropu. Nie poszła też do Sławki, by położywszy ręce na jej ramionach i patrząc w jej młode, chciwe radości oczy, powiedzieć gorącym szeptem, że miejsce czystości jest tam, wśród najwyższych kolumn, które dźwigają najwzniolejszą kopułę gmachu, że z jej runięciem uczyni się w całej budowie wyłom, niczem nie zastąpiony. Jest bowiem z tych najwyższych, na których szczyty wiąże się i opiera doskonałość budowy,

gdyż w czystości kobiety tkwią swoje właściwości, te, które w zaparcu się i poświęceniu urzeczywistniają moralne wartości życia. Z duszy kobiety przenikają w duszę mężczyzny i dziecka, w dom i naród. Dlatego powinna zachować czystość, tę rzekomo śmieszną kukłę, która, jeżeli bywała zabawą i rozkoszą mężczyzny, była również i jest potęgą. Kukłą w świecie zmysłów, potęgą w świecie ducha.

Słowa takie nie zostały wypowiedziane i szczęśliwe rozplatanie powikłania, we wzajemnym stosunku dwóch kobiet, polegało na dalszym, niezmaconem trudności, przeżywaniu dni przez panią i na leciuchnem, choć mimowolnem pchnięciu Sławki w kierunku bezopornej lekkomyślności i obłudy.

W najbliższą szarą godzinę, w której ten sam przypadkowy współnik drażniącej zabawy pochylał się ku jej ustom, Sławka skoczyła z kanapki i sięgając do załącznika, przyzwała młodego człowieka ruchem głowy do siebie. Kiedy się zbliżył, podała mu usta roześmiana żartobliwie, równocześnie zapalając światło. Skrzat aż pisnął z radości, widząc piastkę, złożoną w figę, którą Sławka przedko podsunęła chłopcu, zamiast ust. Nie miała tego zamiaru, ale poniosła ją wesołość, gdy ujrzała w świetle jego twarzy, niemądre zadziwioną z mrugającymi, wskutek blasku, powiekami. Pod wpływem nowego nastroju, odmówiła mu powtórzenia onegdajszej scenki pocałunków i na jego wyrzuty i nalegania zbyła go krótko:

— Oh, zabieraj się. Nic mi na tem nie zależy, a tobie przecie też. Wtenczas było przyjemnie, teraz nie mam ochoty.

Z malej przyczyny zabawa Sławki skończyła się wbrew jej zamiarom, po myśli pani. Do takich rozrywek jednak, przy dobrej woli, nie brak nigdy sposobności. Znalazła się tuż pod ręką. Już w kilka dni później poznała swojego cichego sąsiada. Szła właśnie z panią przez przedpokój, gdy młody człowiek otworzył drzwi z zatrasku i stanął przed niemi. Ukłonił się szybko, pani wymieniła nazwiska, ukłonił się po raz drugi, obrzucił Sławkę rozgorzałym spojrzeniem i już był za drzwiami swojego pokoju.

— Istna mara — szepnęła Sławka rozśmieszona.

Zapamiętała jednak jego gorące oczy i umyślnie wchodziła w drogę nieśmiałemu chłopcu. Zaczął i on jej szukać. Sławka bawiła się odwlekaniem pierwszej rozmowy. Kierowała jego wyraźną chęcią zbliżenia się do niej, to załotnem, to obojętnem spojrzeniem, przy spotkaniu na ulicy, bo w domu nie zdradzała się z tą grą. Niebawem nadeszła chwila przełomowa.

Godzina była przedpołudniowa. Pani siedziała, jak zwykle w swoim pokoju, a że Sławki nie było w domu, w mieszkaniu panowała zupełna cisza. Nagle rozległ się głuchy łoskot. Pani zdrewniała z przerażenia, a Kasia wypadła z kuchni, trzasnęła którymiś drzwiami i przybiegła do niej.

— U pana coś ~~huka~~ w pokoju, a drzwi zamknięte i strasznie śmierdzi.

Pani błada i drżąca zapytała szeptem:

— Dym, Kasiu? Dym?

— Może i dym.

— Jezus, Maria! Idź po księdza.

Kasia spojrzała z nagana i doradziła ślusarza.

— Tak, tak, idź po ślusarza. Oh, Boże, że też Sławki niema w domu. Ty pójdziesz, a ja zostanę sama. Powachaj jeszcze, czy to dym?

— Ji, nie... aż tu czuć... niech pani przyjdzie bliżej

— To eter. Zdaje mi się eter, Kasiu?

Kasia namyślała się chwile i znalazła zagadkową odpowiedź.

— Wola Boska!

Pani uznała te słowa za słuszny powód do wydania nowego rozkazu.

— Idź... idź po doktora... i daj mi szklanke wody.

Kasia przyniosła wodę, a z wszystkich poleceń wybrała swoje własne. Zanim wróciła ze ślusarczykiem, pani przysła nieco do siebie i była obecną przy otwarciu drzwi. W pokoju panował półcień. Młody człowiek leżał niedaleko biurka, na którym stały dwie zapalone świece. Story u okna były spuszczone.

— To ci teatr — mruknęła Kasia. Oboje ze ślusarczykiem przebiegli młodzieńca na łóżko. Pani odważyła się wejść do pokoju, mimo, że przestraszał ją chrapliwy oddech chorego. Uspokoił ją ślusarczyk, który śmiejąc się, mówił do Kasi.

Upił się fajnie.

Kasia spieszenie otwierała okno, pani odprawiła ślusarzyka i poszła zgasić świece. Wśród nich leżał pasek papieru w części zapisany. Kiedy wzięła go w palce, młody człowiek dostał wymiotów. Rzuciła papier i zaczęła wołać o doktora, ale Kasia, polegając na diagnozie ślusarzyka, wypowiedziała swoje zdanie jednym krótkim słowem: „świństwo“. Z własnego popędu obmyła chorego, rozpięła mu kołnierzyk i położyła kompres na głowę. Młody człowiek począł oddechać lżej i pani wyszła z pokoju. Czuli się, w swem zdenerwowaniu, tak chorą i nieszczęśliwą, że zamknęła się u siebie, zostawiając młodego chłopca nadal opiece Kasi i jej warliwym sądom o bezbożności i głupocie młodych ludzi.

Sławka wróciwszy do domu, przedko doszła prawdy. Wnikliwy zapach eteru unosił się jeszcze w mieszkaniu i sprytna dziewczyna wyluskała Kasię z wszystkich szczegółów zdarzenia. Wracając potem ciągle do nich myślą zacięka, co to wszystko znaczy? Eter, świece i ten list? Postanowiła go przeczytać i późnym wieczorem, kiedy dom zaległa cisza, wsunęła się potajemnie do pokoju chłopca. Zakrywając świecę dłonią, przystąpiła na chwilę koło drzwi. Nie była pewna, czy młody człowiek nie ocknął się ze swego odurzenia. Mając na ustach przygotowane pytanie, czy mu czego nie trzeba, podniosła świecę w górę i spojrzała na łóżko. Leżał bez ruchu. Pierwszy, ciężki sen przemiął, lecz spał mocno. Ostrożnie zbliżyła się do biurka. To, co pisał, to nie był list, lecz wiersz. Utwór cudaczny w formie, ale był w nim trawiący ogień i bolesny okrzyk miłości. Obrazy zrywane i nawiązywane znowu, o zmysłowym, gwałtownym życiu

uczuć i niemal brutalnem napięciu, czytane w takiej chwili, o tej porze i z pamięcią o spojrzeniach młodego człowieka, wstrząsnęły nerwami i wyobraźnią Sławki. Pomoc, jakiej pisać, szukał w eterze i nastroju przy sztucznie wywołanym półmroku i zapalonych świecach, wskazywały na pewne wypaczenie uczucia i umysłu. Objaw ten był dla Sławki niespodzianką i podniecią. Nie wątpiła, że jest sprawczynią tej męki, przedmiotem i celem tych pożądań. Chwyciła świecę i wpatrzyła się w twarz śpiącego, chorobliwie bladą, o lekko zapadłych policzkach i sino podkrążonych oczach. Przeżywała nieznanne dotychczas wzruszenia. Bez namysłu powróciła do biurka i nakreśliła kilka słów pod wierszem.

Nie mogła usnąć, ani siedzieć na miejscu. Chodziła po pokoju, a Skrzat wodził za nią oczkami. Płomyk świecy, postawionej na stole, chwiały się od czasu do czasu i w jego migotliwym, nikłym świetle. Skrzat dostrzegał zmienne wyrazy uczuć na twarzy Sławki. Widział, jak oczy jej zapalały się, to znów mroczyły w zamyśleniu. Jak ruchliwa twarz jej zaostrzała się i łagodniała na przemiany; jak przebiegały po niej uśmiechy mniej wesołe, ale zawsze radosne. Wreszcie Sławka przystanęła i ujęła świecę, by ją przenieść na stoliczek koło łóżka. Oczy jej zwróciły się na szafę, której sobowót, tak, jak u niej, zagrażał drzwi w pokoju chłopca. Twarz jej poweselała wyrazem codziennej, swobodnej beztroski.

— Istna barykada — parsknęła cichutko.

Skrzat jej zawtórował. Uciecha i ciekawość wodziły go dzisiaj po wszystkich kątach, i kiedy Sławka zgasiła świecę, bardzo niechętnie wracał za piec w pokoju pani. Nudne w nim było wszystko, jak wzięble, spopielałe ognisko. Pragnął spać u Sławki, ale nie miał odwagi sprzeniewierzyć się głównemu prawu Skrzatów.

Pani w następnym dniu denerwowała się coraz bardziej nowym powikłaniem stosunków domowych. Nie wiedziała, co począć. Bała się wypowiedzieć mieszkaniu młodego człowiekowi i bała się go zostawić. Bała się zmiany i nie mogła się zdecydować na rozmowę z młodym wykołajeńcem. (Tak go nazywała). Postanowiła napisać i cofała się znowu, postępując i popłakując nad samą sobą. W rozterce był również młody człowiek. Odtwarzając w myśli wczorajszy wypadek, karmił się wstydem i obawą przed spotkaniem ze Sławką. Chciał natychmiast się wyprowadzić. Dopiero słowa nakreślone pod wierszem zwróciły myśli jego w innym kierunku i na dały burzliwe tętno jego sercu. Najspokojniejsza była Sławka. O zwykłej porze wyszła z domu i o zwykłej porze powróciła. Spodziewała się, że młody człowiek, który tak

często szukał spotkania z nią na ulicy, dzisiaj skwapliwie zbliży się do niej. Nie uczynił tego, więc niepokoiła się czy nie chory? Czy może nie czytał jej słów? Ledwie jednak powróciła do siebie, usłyszała ciche pukanie do drzwi nad szafą. Podniosła wzrok i ujrzała wsuwany między skrzydła a odrzwia list. Nie zdążyła zdjąć go z szafy, bo Kasia zawezwała ją do pani, która wyprowadzona z równowagi, szukała u niej pociechy. Zwierzała się jej długo ze swojego zmartwienia i znalazła współczucie i zrozumienie. Sławka też uważała, że zmiana może pociągnąć za sobą straty i okazać się gorszą. Godziła się w ocenie z panią, że młody człowiek był zawsze spokojny, porządny i stateczny i już na własną rękę i na swój wesoły sposób zapewniała panią, że wystarczy mu natrzeć uszu, a wyrzeknie się głupich wybryków. Pani nabrała otuchy i całując Sławkę, rzekła:

— Może masz rację. Może posłucha mnie, jak ty mnie posłuchałaś, kochanko.

— Niewątpliwie — potwierdziła przewrotna dziewczyna, gruntując swą pewność na podrzuconym liście.

Upłynął znowu szereg tygodni spokojnych i jednostajnych, jak tego wymagały nerwy i usposobienie pani. Przyjechał jej brat i z zadowoleniem stwierdził, że jego rada wpłynęła korzystnie na jej zdrowie i humor. Pani dziękowała mu za pomysł i rozwodziła się nad zaletami swoich współmieszkańców.

— Takie dobre dzieci. Stosują się do każdej mojej uwagi.

Przerwała jej Kasia, mówiąc, że podłoga koło szafy w pokoju u pana jest znowu porysowana.

— Ach, nie nudź!

— Pan mówi, że się gimnastykuje i żeby szafę przesunąć na ścianę.

— No, więc cóż? Dobrze.

— Ale u panny Sławki na drzwiach też niema już szafy.

— Wiem przecie. Jest kilim. Dla pana nie mam kilimu.

— Kiedy, proszę pani, mnie się to czegoś nie widzi.

— Głupia jesteś, moja Kasiu.

Kasia bardzo niezadowolona nagabywała spojrzeniami brata pani, który patrzył zdumionym wzrokiem przed siebie i uśmiechał się szerokim uśmiechem, myśląc:

— Z jednej strony kilim, z drugiej gimnastyka... a ten anielski antyk... eh! Wreszcie jeżeli nawet... po wojnie, jak po wojnie... a jeżeli nie...

Spojrzał na siostrę i z nagle postanowieniem zwrócił się do Kasi.

— Odejdź Kasiu. Spokój jest także liczbą, a rachunek to grunt.

Kasia zapytała, nie tracąc nadziei, że pan ją w końcu zrozumie i poprze:

— A co mam zrobić z szafą, proszę pana?

— Szafa tu, szafa tam... wilk zawsze będzie syty — bąknął z krzywym uśmiechem powojenny kalkulator.

Kasia odeszła niepewna, jak przetłumaczyć te słowa na zdanie z sensem i przeświadczona, że prócz niej wszyscy w domu są niespełna rozumu. A pani wzruszając ramionami, zadręgała brata:

— O... o jej chodzi? Przecie oni nawet nie mówią z sobą.

Skrzat obecny przy tej rozmowie, przewracał się po podłodze, piszcząc z uciechy. Gościem był już teraz u pani, opuścił ją dla Sławki. Przewalając się wśród śmiechu, fikając małemi nóżkami i bijąc pięta mi o ziemię, szydził z legalnego ogniska i honoru Skrzatów, który razem z czią kobiecą staczał się po jednej linii.



Wagon restauracyjny w tramwaju.

W Stanach Zjedn. zbudowany został ostatnio wagon restauracyjny, który kursować będzie z innymi wagonami tramwajowymi po Nowym Jorku i Chicago.

Wzruszający zwyczaj.

Stany Zjedn. wprowadziły w ostatnich latach wzruszający zwyczaj wspominania dusz zaginionych na morzu. W tym celu wypuszcza się kilkanaście łódek cudownie ukwieconych na pełne morze i... załapia.

